

BIBLIOTEKA TEATRALNA
KAZIMIERZA DĄBIA

№ 1529

SERCE MATKI

SERCE MATKI

OPRACOWANIA INSCENIZACYJNE
UTWORÓW LITERACKICH DLA
TEATRU W ŚWIETLICY WIEJSKIEJ

NAPISAŁA
WERONIKA TROPACZYŃSKA-OGARKOWA



1 9 3 8
WARSZAWA

INSTYTUT TEATRÓW LUDOWYCH

50825



50825

OD WYDAWCY

Nadaliśmy tej książeczce tytuł „Serce matki” i ze względu na nazwę i treść nowelki K. Tetmajera, otwierającej niniejszy zbiorek opracowań scenicznych, i ze względu na to, że cała część pierwsza książki dotyczy tej samej sprawy, z miłością matczyngo serca związanej. Bo taka treść odgrywa dużą rolę wychowawczą w uniwersytecie ludowym, gdzie właśnie z młodzieżą wiejską wszystkie pomyslenia inscenizacyjne zawarte w tomiku autorka jako nauczycielka i wychowawczyni wypracowała.

W części drugiej mamy już szersze zagadnienia o charakterze społecznym, obejmujące sprawy życia gromady wiejskiej (Orkan) i walki o niepodległość naszej Rzeczypospolitej (Zeromski). Część trzecia, w treści też społeczna, jest w formie przykładem wyzyskania utworów poetyckich do wygłaszania zespołowego, nadto w ogólnej nucie jest tutaj już jakby przewyciężenie zła, krzywdy, śmierci („Sosny”).

Niewątpliwie jest to książka w treści i nastroju smutna, ale nie beznadziejna. Autorka przeprowadza nas przez tragiczne załki ludzkiej duszy, ukazuje cienie i smutki życia, ale z świadomością i wiarą, że po nocy będzie ranny świt i dzień słoneczny. Widać to już w projektowanym „teatrze z głowy” p. t. „Szukamy radości”, w „Radzie” nasza nadzieja skupia się na postaci Franka Rakoczego, w „Róży” w osobach Bożyszczki i Czarowica. Zaś część trzecia jest już wyraźnym potwierdzeniem, że noc się przesiliła. Ładnie to zostało uzmysłowione w owych ściętych sosnach, z których ma być zbudowany we wsł dom ludowy. Ostatni wiersz — to rzeźki wschód słońca,

Ak. 2025 - D - 10/1

poczucie zbiorowej siły do brania życia we własne krzepkie ręce przez młodych, którzy idą w zorganizowanej gromadzie ku lepszej przyszłości.

Liczmy, że ten zbiorek przyda się zespołom wiejskim przy urządzaniu małego teatru w świetlicy, gdzie nie tyle urządzenia sceniczne, widowiskowe efekty i duża ilość osób grających dochodzą do głosu, ile sama treść zdarzenia i dobrze, dogłębnie opracowane i wypowiedziane słowo, słowo żywe i piękne.



I SERCE MATKI

SERCE MATKI

Opracowanie inscenizacyjne nowelki Kazimierza Tetmajera ze „Skalnego Podhala” p. t. „Jakie jest serce matki albo kiedy anioł płakał”.

Wydzielimy w świetlicy jedną część. Zrobimy z niej chłopską, góralską izbę. Pod pułapem zawiesimy jeden obok drugiego obrazków parę. Ustawimy łóżko, piec z blachą kuchenną... Izba będzie chędogą. Znać na niej ręce kobiece, słabe, ale skrzętne, drżące i umęczone, ale ciągle jeszcze pracujące i dbałe o to, by porządek w chałdzie jaki taki był, by podłoga była czysta, a garnki na nalepie umyte. W jednym z kątów izby, może nie w kącie, a przy oknie postawimy stół. Na stole może zabaczony, może ot tak przypadkiem postawiony stoi gliniany, niewielki garnek, obok stołu ława.

Z zespołu swego wydzielimy 4 osoby: 2 chłopaków i 2 dziewczyny. Jedna dziewczyna zagra matkę, druga anioła. Jeden z chłopaków będzie Sobusiem, synem, drugi zastąpi autora, siądzie między widzami i będzie opowiadał, co zaś ta wie ciekawego a smutnego o owej wdowie nieszczęśliwej, Sobusce.

Sobuska — to matka, ale nie z tych matek, co to ostro i hardo stawiają swoje do miłości dziecinnej prawa. I nie z tych, co to, wszedłszy w oprzęd starości, wpatrują się w swoje tylko matczyne, osobiste, własne sprawy, o drugich zapominając. Sobuska to matka z tych najlepszych, dla których dziecko nawet wtedy, gdy już w parobka wyrośnie i pomoc matce winno okazać, zostaje zawsze — — dzieckiem, któremu potrzebna jest dobroć

matczyna i opieka nawet starych, trzęsących się rąk. Sobuśka to matka nie z tych, co to o poświęceniu się wiele i obszernie mówią, a żyją własnym tylko samolubstwem, ale z tych, co to do oczu z pazurami skaczą za własne dzieci, a same nie znają granic miłości i poświęcenia. Taka będzie Sobuśka, miłująca i dobra, skrzętna i pracowita, a równocześnie złym słowem syna, kto wie czy i nie pięścią mocną — zgięta do ziemi w lęku i ludzkiej niedoli.

A Sobek? zły, samolub, rachujący każdy matczyn krok, czy też aby dość wartko mu pracuje. Może jednak przez matkę z dala od roboty chowany, żeby też czasem się nie umęczył. Może tak, ot z natury człowiek nieużyty, zły, bez pęknięć współczucia na jednolitym kamieniu samolubstwa.

Siedzi oto Sobek na ławie. Łokcie wsparł o kolana, myśli. Papierosa skręca jednego po drugim. Kurzy. Niedopalki ciska o ziemię, zły.

Matka się krząta po izbie. Umyła naczynie po wieczery widać. Powstawiała statki. Pozamiatała podłogę. Z lękiem z daleka omiotła to miejsce, gdzie siedzi zły i milczący syn. Pościeliła łóżko, sobie rzuciła garsteczkę szmat przy piecu, przytuliła się w owym kącie z różańcem w ręku. Przez ten cały czas „opowiadacz”, góral, stary gazda, gwarzy słowami Tetmajera. Tak mówi, jakby siadł między sąsiadami i z pamięci wygrzebywał wspominki o sąsiadce, zacnej ongiś gazdini Sobuśce.

Posłuchajmy i zagrajmy tak, jak byśmy to my sami byli uczestnikami owej tragedii z góralskiej chaty przy wierchach.

GAZDA

Była biedna gdowa Sobuśka i syna miała jednego, Sobka, na którego nigdy inaczej nie wołała, tylko Sobuś, i nikt go też inaczej już we wsi nie nazwał. Sobuś, Sobuś, a Sobuś był gorszy psa. Złe to było jako dziecko, a kiedy zaczął parobczyć, zeźlił się, jak pies. A najgorszy był dla matki. Nigdy jej dobrego słowa nie powiedział, ba ciągiem przeży-

wał, popychał, poszturkiwał, czasem zbił na kwaśne jabłko, a wymagał od niej roboty wszeliniejakiej koło siebie, sam robiąc tyle, co nic. Ledwie tam oborał, obsiał i obkosił ten kęseczek pola, co mieli, a resztę: rób, matka! Nieraz piętą potracił, że nie dość fryśka. A bo niebożatko obstarne już było, kopę lat i siedem miało, to taka ci wartka nie będzie, bo nie da rady. Ale się to nie użaliło, nie uskarżyło nigdy, ino zawsze „Sobuś, Sobuś, mój Sobuś“, a od pracy aż się zgibała we dwoje.

Sobek się nie żenił; jedno dziewczki się go bały, nierade go widziały skróś tej złości dla matki najwięcej, drugie, że i on sam bardzo do tego nie ciągnął. Ino se chciał kucharkę wziąć, coby go oprala i jeść ugotowała. I upatrzył se taką jedną i ona się zgodziła, ale se wtedy pomyślał: po co mi teraz matka w chałupie? Na sto diabłów! Stara jest, ledwie łązi, ledwie robi. Kaśka robi wszystko, jesce nie telo lepiej, a i wygodę będę z nią miał. Po co mam darmozjada żywić? Wyzenem matkę do pola, niek ta idzie, ka kcel! Jaki Sobek, taka Kaśka. I ona mu też mówiła: wyzeń matcysko, wyzeń matcysko... Co ci śniej? Ino zre! — Bo chciała być sama ino w chałupie ze Sobkiem, żeby jej nikt inny nie gawędził po izbie, a co naganobi, żeby tylko jej było.

W jedną noc, w zimie to było, przed Gody, Sobek nie lega na pościel, nic, tylko siedzi na ławie. Matka se upościelala, jako ta mogła, na ziemi pod piecem, bo tylko jedna pościel w chałupie była i na niej Sobek spawał; leży ci-chutko, a modli się, bo widzi — kaganiec się świecił — że Sobek zły.

MATKA

(szeptem, z lękiem)

Coz będzie, coź będzie?...

GAZDA

Szepce sobie, bo gorszy jeszcze był teraz, niżli przedtem.

SOBEK

(ostro — w przestrzeń)

Matka! wstaj!

GAZDA

Zbiera się to niebożatko, bo się go i spytać nie śmiała:
na co — wstaje.

SOBEK

Warcej!

MATKA

*(dźwiga się z trudem — stara przecie jest i umęczona —
ze swego barłogu)*

Zaraz, zaraz, Sobusicku...

(podeszła bliżej syna)

Cos kces?

SOBEK

Przynieście wody. Pić się mi kce.

MATKA

*(podreptała w stronę pieca, wzięła konewkę z wodą, wzięła
kubek, podniosła ku ławie)*

Je dy je jest przecie w konewce.

SOBEK

Nima!

(kopnął konewkę)

GAZDA

Zaśmiał się Sobek i kopnął konewkę, że aż na matkę
woda chlusła.

SOBEK

Jest je co?

MATKA

*(bez słowa narzuciła na siebie, co tam miała pod ręką, wzięła
konewkę — poszła)*

GAZDA

Matka się zapaską odziała, bierze konewkę za ucho.
Zimno było, co cud, a slizgo: po wodę trza było ku potoku
iść, dość obdalno...

MATKA

*(gnąca się pod ciężarem konewki z wodą, sunąc starymi
nogami, weszła do izby, konewkę Sobkowi przed ławą
postawiła)*

SOBEK

*(ze spokojną zaciekłością, ciągle kurząc papierosa, kopnął
znów konewkę i wodę na izbę wylał)*

MATKA

(przeżrana, rękoma chwyciła za szmaty na piersi, na syna z lękiem i grozą patrzy)

SOBEK

Brudna biała, nie cysta. Przynieście jeszcze raz.

MATKA

(znów bez słowa, chwiejąc się na nogach, konew za ucho z podłogi podniosła, wyszła)

GAZDA

Nic nie powiedziała.

MATKA

(weszła zgięta w pół — pod ciężarem)

GAZDA

Przyniosła.

SOBEK

(kopnął konewkę, wodę wylał, nogi na ławie wyciągnął i o stół się oparł łokciem, wygodnie)

GAZDA

A on trzeci raz to samo. W izbie pełno wody się nalalo, że Sobek na ławie nogi wyciągnął, a matka we wodzie boso stała.

SOBEK

I ta biała brudna. Idźcie, matka, jeszcze po ino...

MATKA

(bosa w kałuży wody stoi, trzęsąc się cała z zimna i lęku, mówi cicho, prosząco, ażeby syna nie urazić)

Sobuś, dyj hań zimno... ja boske...

SOBEK

To sie, matka, obuj!

MATKA

Jakoz sie obujem, synku ostomilsy? Kyrpcy ni mom nijakik, a te kapcátka stare, cok je przecie jakosi pomiędzy halupy nasła i jako tako pozesywała, mokre cale... we wodzie lezom.

(już lży drgają w matczynym głosie, ale im przecie posłuchu nie daje. — jakże? nie dogada się z rodzonym synem? — matką?)

GAZDA

Bo on jej nie kupił nigdy nic. Co miała, to albo ze starości leciało z niej, albo kto darował, bo mu się jej luto stało, albo znalazła, jak i te kapce.

SOBEK

To idź, matka, boske. — —

MATKA

Sobuś...

SOBEK

To sie wam jus ani telo posługować nie kce?! A zryć to byście zarli?! Co? Hybaj, matka, po wodę! W te razy!

MATKA

A nie oźlejes zaś znowa?

SOBEK

A jak oźlejem, to co? Cyk haw nie pan? No?!

(już Sobek stracił swój zły, zaciekły spokój; — już kipi w nim złość niepamiętająca na nic; — jeszcze trochę, a gotów zabić tę dziadówkę, co to mu się po izbie płcze, a skamle i zamysłem jego samym swoim istnieniem przeszkadza)

MATKA

(przecie to czuje, musi źle będzie, czegoś się Sobuś wziął, doświadczyć chce? wypróbować? pójdzie jeszcze raz po tę wodę do poloka)

GAZDA

I jeszcze raz poszła...

(mija długa chwila, ledwo żywa, nogi wlokąc ledwo za sobą, przynosi Sobuśkę znów kónew wody)

I jeszcze raz przyniosła...

(Sobek nogę z ławy spuścił i z zimną wściekłością kónew kopnął)

I znowu on wodę na izbę wylał... Wtedy stara Sobuśka, trzęsąca się cała od mrozu, padła przed nim na kolana,

na wodę na izbie nie zważając, bo już widziała, że do czegoś zlego zmierza. A on ją odtrącił nogą.

SOBEK

Idziecie po wodę? Nie?!

MATKA

(już lez nie strzymuje, już widzi, że traci syna, ręce do niego wyciąga, w wodzie klęcząc, przywołuje, może się przecie jeszcze ku niej zawrócić...)

Sobuś!...

SOBEK

(już do żywego dopiekła, trza przecie z nią raz skończyć, pięścią w stół uderzył)

Ja wiem, zek Sobek i jako mnie wolajom! Nie potrzebuje mi syćko przybacować! A kie sie wam posługować nie kce, to do pola!

MATKA

(pod słowami syna gnie się ku ziemi, jakby ją kto biczem po grzbiecie i głowie bił, ale jeszcze przecie sprobuje, traci syna, traci barłóg przy piecu i ten pozał się Boże dach nad głową, ależ się da może ubłagać — dziecko...)

Sobuś!...

SOBEK

(krótką do drzwi wskazał drogę...)

Do pola, mówiem! Mnie tu takik łachmandów nie trza, co ś nik nijakiej wygody nima. Przidzie Kaśka od Kurosa, to będzie. A wy sie biercie z izby, prec!



MATKA

Sobuś, dyj noc, zimno...

SOBEK

Do pola!

MATKA

Umarznem!...

SOBEK

(urąglowie, szyderczo)

Cieplście, kie we wodzie kłęcicie.

MATKA

Dziecko moje, wykarmilak cie...

SOBEK

Ba!

MATKA

tymi piersiami — —

SOBEK

A jakimście kcieli?! Do pola!

MATKA

To mnie jus tak wyganiaś?

SOBEK

Tak!

MATKA

A jutro mi przynieść podzwolis?

SOBEK

Nigda! Przidzie Kaśka! Darmozjadów mi nie trza.

MATKA

(już wie, że to koniec, sama sobie oto ze łkaniem, w tej wodzie kłęcząca, to stwierdzi pytaniem)

To sie jus mam we świecie stracić?...

SOBEK

Strać sie, matka, ka kces!

GAZDA

Objęła mu nogi rękami i usta do kolan przycisnąć chciała... ale on ją kopnął, że aż z jękiem na podłogę w tę wodę zimną na izbie wznak padła. Byłaby może zemdląła, żeby nie ta woda właśnie.

(Umilkł Gazda na chwilę, patrzy i on na to, co się w izbie dzieje, dźwiga się ciężko z podłogi matka, trudno się i odebrać od tych wodą zalanych desek. Tyle razy przez życie całe je szorowała, a ot, pójdzie oto precz — nie ma rady — Sobkowa, synka — dziecka taką wola, ma się brać z izby precz we świat. Poznała, że tu śpasów nie mas. Pozbierała, co tam miała, a było tego jak pięść, we węzełek, może różaniec, co przy oknie wisiał i szmaty z barłogu, na którym pod piecem sypiała...)

MATKA

(żałosna, mokra, cała w wodzie utaplana, trzęsąca się, jakże biedna i stara i słaba stoi przed rozpartym na ławie synem; lży ukradkiem ociera, po co ma widzieć — dziecko, leć o to i leć, w żalości serca się rodząc — niepotrzebnie przecie — ob cóż ona, starucha — — wiadomo, trza iść — ucałować by tylko chciała na tę drogę daleką dziecko — Sobusia — ręce dwie wyciąga, nad głową się schyla)

Dajże się mi pobośkać, synečku mój, choć mie jús tak nierad widzis... dziecko moje...

SOBEK

(oj bo ma się już z tą dziadulą! — w tyl się siepnął — w zlej pomroce nieprzytomny)

Mnie tu waszego bośkania nie trza! Przidzie haw Kaśka od Kurosa, to mnie ubośka, kielo mi sie be kciało! Do pola, dziadulo zatracona! Bo jak nie?!

(za garnek złapał, na matkę się zamierzył...)

GAZDA

I złapał za garnek odrutowany, co na stole stał...

(skurczyła się matka, poszarzała, postarzała o lat kilkanaście, do drzwi idzie, nogi jej nieść nie chcą, przy wiadrze na ziemi leżącym stanęła, — podniosła je — w kącie postawiła przy piecu, ale o krzywdzie nie pamięta, leć lży, zapaską je otrze, od drzwi się odwróci i uśmiechem synka pożegna)

Wyszła Sobuska cichutko w pole, tylko się ode drzwi jeszcze popatrzyła na Sobka i uśmiechnęła do niego przez lży.

(wyszła, w progu stanęła, przez zaslonę leż na świat ciemny patrzy)

Ciemno, kapce, co je wdziała, mokrzuteńkie, zimno, nie wie, gdzie iść.

MATKA

Pudem ka, na hałupy, zapukam do okna, może mie przecie puscom nie tu, to ka inendej...

(ogarnęła na sobie drżącymi rękoma mokre szmaty, poszła parę kroków, przystanęła)

Bajtoć! Ze tobyk musiała pedzieć, ze mie Sobuś wygnał z domu, toby na niego pomstowali, a to przecie dziecko...

(nie, nie pójdzie do ludzi, nie przytuli drżącej głowy pod ciepłym cudzym dachem, po co mają źle mówić o jej dziecku, pójdzie między obcych, gdzie jej nie znają, nie powie o swojej krzywdzie, przepadnie we świecie)

Pudem do światu, stracem się... Pan Bóg dobry, to mi sie ta nie da długo plątać pomiędzy ludziami...

GAZDA

Idzie, kielza po lodzie, w śniegu grzęśnie... idzie...
...A Sobkowa chałupa na boku stała, na łące i bardzo daleko do niej widać było. Toż to obejrzy sie Sobuska, widzi, w chałupie jasno w oknie.

MATKA

(zatrzymała się w swojej ostatniej we świat drodze, na dom się obejrzała... może tchu trochę zachwycić chciała,

może jeszcze raz dach własny zobaczyć... Sobek — Sobuś, syn na myśl przyszedł...)

Nie śpi, kagańca nie zadużono... Nie śpi dziecko... i pić się mu kce, a wody nijakiej nima... Sam po nią nie pudzie, bo zimno i ćma... A pić się mu kce...

(jakżeby mogła pomyśleć, ażeby sam wodę sobie przyniósł, całe życie przecie służywała mu ona, matka, przyjdzie jutro Kaśka, ale dziś — ale teraz?)

Kiebyk mu jom prziniesła...

(już i o łzach żałosnych matczyne serce zapomniało, jeszcze ten raz usłuży synkowi, wodę mu poda, z radością jedną tą jeszcze posługę mu odda...)

Jest putnia na oborze, wypłucem cysto pięknie, postawiem przy dźwirzach, dźwirze ino tyle uhyłem, co mu powiem: synku, mas wodę, jakbyś pić kcial — i pude. Nie bede ta jus dlugo kusić swiate, nie...

(smutkiem zadrżały ostatnie słowa, ale nogi prędszym krokiem podreptały tą samą dopiero co przebytą drogą ku izbie. Ta woda, którą teraz oto z potoku przyniesie, to jakby ostatni matczyn pocałunek, złożony na czole Sobka, bliskiego sercu Sobusia, śpieszy się, jak może, matczyne serce do tej radości)

GAZDA

I jak myśli, tak robi.

Wróciła, do obory cichutko weszła... putnię do potoku zaniosła, raz, drugi i trzeci wypłukała i czystej wody Sobkowi pod drzwi przyniosła...

(Tu już przyszedł kres wytrzymałości matczynego serca. Bez sił już prawie, wolą mocną tylko przydźwigała putnię

z wodą i przed izbą postawiła. Zwisły jej nad tą wodą próżne już ramiona. Jakby się w oną wodę zapadły matczyne marzenia o dobrym, milującym synu. Jakby w tę wodę wpadło, utonęło, zginęło dziecko — dobre dziecko. Ugięły się bezsilne łolana i obojętne, bezwładne, ciężkie usunęło się ciało)

I wtedy padła przy niej martwa.

(Zza węgla, z pola przychodzi oto anioł. Może iść między nami, spokojny cichy i smutny Nasz Anioł wsiowy. Na głowie chustkę ma jasną, gorset kwiecisty, spódnice jasną w kwiaty, od ramion do dłoni spływają mu duże chusty jak skrzydła, uniósł ręce ponad ramiona, niewysoko — i tak oto do nas przemawia: smutkiem głębokim cichej twarzy, jasnością barwnego stroju i spokojnie uniesionych w górę rąk. Cicho idzie jakby płynął, uroczysty i poważny. Przy trupie matki bezwładnie leżącym przystanął. U głowy w chuście odzianej przykląkł. Może z ziemi tę głowę uniesie i ku górze nieco z miłością dźwignie. Ale nie strzyma i serce anielskie widoku takiej niedoli i takiej miłości. W łkaniu głośnym pochylił się głowa ku zamkniętym oczom Matki, a ręce-skrzydła otulą ją ciszą i spokojem grobu.)

I wtedy to wej janiół, co po jej duse przisel, — płakał.

— — — — —
Gdy obraz ten zagramy w świetlicy bez kurtyny, nie wolno nam od razu po ostatnim słowie „opowiadacza”-Gazdy kończyć. Przez chwilę tych dwoje ma w bezruchu przemawiać do nas czuciem i ciszą. Dopiero po chwili zakończymy. Zgaśmy światło, gdy jest wieczór (powinien być wieczór), ażeby się scena mogła opróżnić lub stanąć żywą kurtyną przed izbą, ażeby końcowego wrażenia nie niszczyć wstawianiem grających i przypominaniem, że to tylko scena.

Trudności techniczne przy inscenizacji niewielkie. Robiliśmy ją w uniwersytecie ludowym 2 razy, raz w Tywonii, a drugi w Grzędzie. Pierwszy raz scenę zbudowaliśmy tak: ze świetlicy wydzieliliśmy środkową część. Boczne sceny zbite z listew i obciągnięte papierem. W jednej ścianie drzwi. Tamtędy Sobuśka wychodziła po wodę. Gdy po wygnaniu z chałupy chciała iść między ludzi, szła do nas, którzyśmy siedzieli przed izbą. Ostatnie wiadro wody przyniosła i postawiła przed nami, przed izbą. Tam upadła. Przez cały czas jej wędrówki Sobek siedział na ławie, myśląc o czymś tam swoim złym.

Drugi raz ściany boczne zrobiliśmy z szaf. Nie można było zrobić drzwi, dlatego matka musiała wychodzić w przedniej części sceny.

Próbowaliśmy grać tak, jakby to nas samych dotyczyło. Przedtem, przygotowując inscenizacyjnie tę opowieść, wiele o niej każde z nas myślało, wiele o niej mówiliśmy. Przemysłcie i wy. Jest piękna w swoim głębokim tragizmie i może do głębi wstrząsnąć człowiekiem, który patrzy na nią, zagraną tak, jakby była wycinkiem z codziennego, zwykłego, a jakże czasem ponurego życia.



WIEŚ — MIASTO

(według utworów Marii Konopnickiej)

Urządziliśmy kiedyś w Grzędzie (na żeńskim kursie uniwersytetu ludowego) wieczór twórczości Marii Konopnickiej. Zestawialiśmy jej wiersze, poświęcone człowiekowi ubogiemu w mieście („Sobotni wieczór”, „W piwnicznej izbie” i i.) z wierszami poświęconymi wsi i tej ciężkiej doli („Wolny najmita”, „Przed sądem”, „A czemuż wy chłodne rosy” i i.) 3 z tych wierszy ujęliśmy w całość inscenizacyjną, którą tutaj postaram się przedstawić.

Jedną stronę świetlicy oddzieliłyśmy na scenę. Tę część podzieliłyśmy na dwie izby, oddzielone od siebie ścianą-szafą. Jedna izba, z lewej, była piwniczną, suterynową, gdzie bez słońca umierało dziecko robotnicze, druga izba chłopska, biedna, ciasna i mała. I tu i tam akcja toczy się około dziecka. Wiersze inscenizowane w pierwszej: „W piwnicznej izbie”, w drugiej: „U proga” i „Dzwony”.

Zastanawialiśmy się długo nad tym, czy wiejskość przemawiająca z wiersza „W piwnicznej izbie” nie jest zbyt sentymentalna i cikliwa w swojej malowanej sielskości. Kiedyśmy jednak urządziły już tę piwniczną izbę, kiedy mała Anielcia ze swego barłogu pod wysoko ginącym małym okienkiem zaczęła mówić o owym słońcu i niebie ginących w oddali, kiedy Zośka-matka przez łyżę ją opowiadać, „jak też to na wsi onej, gdzie dzieci, „chodzą w słoneczku, po trawce po zielonej” — zrozumiwałyśmy jedną rzecz: że właśnie tak przedstawia się wieś we wspomnieniu człowiekowi, który kiedyś na niej żył, ukochał ją

ciemnym czuciem, i do takiej tęskni, mimo, że kto wie, jak tam było naprawdę, może i pasy i kije tatusia, a niedojadanie, chłód i głód ma okrasę...

A kto wie, czy owa matka z suteryny nie przywędrowała właśnie ze wsi ongiś do miasta. Przyszła roboty szukając i tak ją oto miasto wchłonęło w siebie, zamknęło w suterynie już chyba na wieczny czas, po grobowe deski.

Patrząc oczyma dziecka z suteryny i zapatrzonej we wspomnienia jego matki, spróbowaliśmy wiersz ten odegrać tak: Izba — pusta, prawie bez sprzętów. Kuchenka z płytą, stolik, ława, krzesło, na ścianie trochę łachów wiszących, szafa — kto wie — sprzedana już może? Pod oknem barłóg, ledwo czemś tam przykryty. Na barłogu dziecko — wychudzone, mizerne, blade. Ile może mieć lat — 10—12? mniej może?

Naprzeciw nas, widzów, wysoko w ścianie małe okienko. Ściany dokoła obiliśmy pakunkowym szarym papierem. Stwarzały one pozór wilgoci. Dawały nastrój piwnicznego, ponurego wnętrza. Pod okienkiem, chwytając słabymi oczyma słabe blaski zamierającego dnia, siedziała matka. Zośka z Rzeszowskiego grała tę matkę. Wysoka, szczupła, przybladła jeszcze bardziej w tym mroku, chusteczkę zawiązała pod brodę z wiejską trochę, tylko że nie wiejską, wesołą chusteczkę, a przygaszoną jakąś, szarą, miejską. Szyje coś w tym słabym świetle. Wtedy w tę izbę i ciszę jej smutku wszedł spokojny, melodyjny głos. Mówiła Geńka.

GŁOS

W piwnicznej izbie zmrok wczesny pada,
wilgotny, a ponury;
mętными szyby drobne okienko
na brudne patrzy mury.

W piwnicznej izbie głos dziecka słychać,
to westchnie, to zagada...
Ojciec chleb czarny wykuwa młotem,
przy igle matka blada.

(Pyta dziecko. Pyta w zadumie jakiejś dalekiej na razie, dopiero, kiedy o obłokach będzie mówić, podniesie się nieco z barłogu, ku niebu za oknem wyrzy)

DZIECKO

Moja mateniko, moja rodzona,
jak też tam na wsi onej?
czy też tam dzieci chodzą w słoneczku
po trawce, po zielonej?
(z żalem i smutkiem)

I nie mieszkają, jak my, w piwnicy?
i widzą het... obłoki?

MATKA

(szyjąc)

Oj widzą, synku, wszyściusko widzą,
caluski świat szeroki.

(Zadumała się — szyć przestaje powoli — może i o pytaniu synka zapomniała? We własną patrzy duszę, we własne, skryte w niej obrazy. I ona za dzieckiem ku oknu spogląda)

Oj widzą one pola, i lasy,
i łąki, i zagaje,
widzą, jak słonko idzie do morza
i jak znów rankiem wstaje...

Oj widzą one, jak źródła biją,
jak modre rzeki płyną,
jak dzikie gęsi na ugór lecą,
jak staw zarasta trzcina...

DZIECKO

A nie ma takich murów dokoła,
że aż się przegiąć trzeba,
żeby choć skrawek, choć odrobinę
zobaczyć czasem nieba?

MATKA

(ciągle mówi ku górze — zadumana, sama —)

Niebo tam, synku, wszystkim otwarte,
z wschodu na zachód wolne,
czy zorza świeci, czy gwiazdy wschodzą,
jako te kwiaty polne...

zmilkli oboje, zcichli — — aż żal serdeczny zadrżał
w głosie:)

DZIECKO

To i Pan Jezus bliżej być musi
i patrzy na te dzieci...
a od nas tutaj do Pana Boga
i pacierz nie doleci...

*(Coś niby płacz zadrgało w powietrzu, — opadło dziecko
na swoje posłanie zniechęcone. Wróciła i matka z odległych
swoich krain do rzeczywistości. Za ciemno, żeby szyć.
Smutek legł w izbie. Zakrzętała się matka po izbie w mil-
czeniu.)*

GŁOS

W piwnicznej izbie jęk zabrzmiał cichy,
matka się po niej krząta,
w gęstnącym zmroku głos dziecka słaby
z ciemnego słychać kąta.

DZIECKO

Moja materko, moja rodzona
a jak tam jest w tym polu?

MATKA

*(przysiadła na stoleczku przed tapczanem, znów ją bierze
w posiadanie czar wspominków)*

W polu to, synku, zboża, a zboża
przetkane w kwiat kąkolu,

Takie ci owsy, takie ci żyta,
że się w nich człowiek schowa.
A grusza na nie cień rzuca chłodny,
a wkoło woń chlebową.

Spojrzysz na lewo, spojrzysz na prawo,
to kłosy aż się garną,
jakby kto złotą nakrył kurzawą
całą tę ziemię czarną.

A wierzchem takie ci idą szumy,
takie w powietrzu gramie,
jak kiedy — — — na ten przykład, — — w kościele
— — zagrają na organie.

*(Już teraz jak bajkę przedwieczorną opowiada dziecku.
Cała już wrosła w tę bajkę. Oboje — syn i matka — wyszli
duszą z suteryny i wędrują razem miedzami — —)*

Od spodu słoma, jak trzcina stoi,
ot, gdzie tam do niej tobie,

a także ziarnem pełniuskie kłosy,
aż kładą się po sobie.

(*wesoło, z przejęciem*)

A jęczmień, to ci taki wąsaty,
a gryka taka miódna,
a lny — jak niebo... a grochy w strąkach,
że ich nie przejrzysz do dna.

A tu ci zając spod miedzy smyrgnie,
przepiórka w głos zadzwoni — — —

(*w zadumie — —*)

a z łąki kędys — — po rosie słyhać
spętanych rzenie koni...

(*zmiłkli — zcichli — — —*)

GŁOS

W piwnicznej izbie zmrok coraz gęstnie,
wilgotne ściany płaczą...
dziecko w ciemności oczy otwiera,
czy czego nie zobaczą...

DZIECKO

Moja matenko, moja rodzona,
a jak tam na tej łące?

MATKA

Na łące, synku, to trawy rosna
w srebrzystej mgie stojące...

A w trawach kwiecie żółte i białe,
a bokiem modra struga,

a słonko sobie po niebie chodzi
i złotym oczkiem mruga.

A po mokradlach bocian szczudłuje
i żaby dzióbem bierze,
a skowroneczek do Boga leci
i śpiewa swe pacierze.

Brzeżkiem nad rowem złocieniec rośnie
i wierzba na fujarki,
a siwy kaczor w trzcinach się zrywa,
sznurkuje derkacz szparki.

A po przydrożku, pod leśną ścianą
kosiarze idą z kosą,
a te dziewczątka, jak gąski białe,
w dwojakach jeść im niosą.

GŁOS

W piwnicznej izbie głos dziecka wzdycha
z wilgotnej, brudnej pleśni...
a oczy jego patrzą w okienko,
czy mu się czasem nie śni...

DZIECKO

(*coraz to innych, coraz to nowych obrazów łąknie dziecinna
wyobraźnia*)

Moja matenko, moja rodzona,
a jak to jest w tym lesie?...

MATKA

(*złączyła się w jedno z obrazami, które oto słowem wycza-
rowuje w mroku...*)

W lesie to, synku, szum się okrutny
po wielkich sosnach niesie...

I wielkie jakieś dziwy powiada
o starych owych czasach,
co to już o nich wieść tylko lata
po ciemnych, cichych lasach.

A taki zmrok tam zielony, świeży,
że gdzie!... i ksiądz sam nie ma
na Boże Ciało, na procesyi
takiego baldachima.

Dęby, a jodły, jako te wieże
pod niebo się dźwigają,
że i królowie w złotych palacach
piękniejszych drzew nie mają.

A sosny śmigle szumią, a szumią,
a brzozy liściem trzęsą,
a dzień się przez nie jak sitem sieje
i patrzy złotą rzęsą.

A jakie to tam gniazda są ptasie,
furkania, a szczebioty...
a gąszcz ci taki, że słońce ledwo
przecisnie smużek złoty!

A co tam żuczków, a muszek brzęku,
a co tam jagód krasnych!
a co mchów tkanych jak aksamity!
a co dzwoneczków jasnych!

A dech ci taki słodki, a mocny,
gdzie stąpisz dookoła — —
bo smółki topną i mirrę sączą
i zdrowiem tchną tam zioła...

DZIECKO

*(bliższe jest dziecku rzeczywistości od matki; oto znów
do niej nawraca — znów z odległych widoków w izbie się
znalazło — biedę swoją zobaczyło...)*

A to i ja bym może, matenku,
ozdrowiał w owym lesie?
a w tej piwnicy, tom jak żdźbło ono,
co się za wiatrem niesie...

*(w głosie dziecka smutek drży, ale matka, gdy oto się ode-
zwie, łzami słowa swoje opyli)*

MATKA

Oj ozdrowiałbyś, synku — nieboże,
mój ty świerszczyku cichy!
a tak mi zamrzesz jeszcze przed zimą,
jak ten wróbelek lichey.

(z głośnym już płaczem)

Oj ozdrowiałbyś, synku rodzony,
mój ty robaczku marny!
a tak mi przyjdzie twoją główkę
zakopać w dołek czarny...

DZIECKO

*(jednak panuje nad sytuacją. Cóż pomoże płacz? Opie-
kuńczo, dojrzałym gestem kogoś, kto już wiele przecierpiał —
zwraca się do matki. Ma ją tuż, blizutko...)*

Nie płaczcie, matuś, nie płaczcie ino!
możec się jeszcze uda!...

(i znów głosem dziecka stęsknionego do bajki)

A teraz precz mi rozpowiadajcie,
jakie to tam są cuda!

MATKA

jeszcze głosem zmęczonym przez łzy)

Oj są tam cuda, dzieciątko moje
serdeczne, a rodzone!
złociste łany, srebrzyste zdroje
i sady rozkwiecione...

Oj są tam takie cuda na niebie
i na tej bożej ziemi,
że człowiek nie wie, na co ma pierwiej
oczami patrzeć swemi!

(Oto czar już przysł. Został tylko żal. Obrazy odsuwają się coraz dalej, maleją, nikną; została tylko wilgoć spływająca po ścianach, ciemny zaduch izby, do której słońce nigdy nie zagląda — i jeszcze nie uświadomiona i nie nazwana, bezsilna rozpacz)

DZIECKO

A jaż, matenku, zobaczę kiedy
wszyscyśko, co mówicie?
one to ptaki w lasach grające,
one zajaczki w życie?

A jaż, matenku, nie taki samy,
jako te insze dzieci,
co to się dla nich zieleni łąka
i jasne słonko świeci?...

MATKA

(cóż odpowie synaczkowi? We łzach cała przygarnęła rozżaloną, gorącą jego głowinę do piersi — ogarnęła, jakby za-

ślonić ramieniem chciała i uchronić przed tym, co przyjąć musi — wie matka dobrze, że przyjdzie... Łkanie piersią wstrząsa. Nie pokaże dziecku rozpacz — przecie. W mrok izby poniosła ból swój i beznadzieję. Wrobi go w krzątaninę około wieczery — — kaganek lampki zapalić trzeba... Zostańże, synku, sam z swoim smutkiem, jak sama jest matka ze swoją rozpaczą...)

GŁOS

W piwnicznej izbie ciężkie westchnienie
z ciemnego słychać kąta.
Ucichło dziecię na swym barlogu,
matka się we łzach krząta.

W piwnicznej izbie zmierzch zapadł czarny,
jako ta czarna dola...
ktoż dziecku temu da trochę słońca —
pokaże lasy — — pola? ?...

Nie miałyśmy kurtyny. Stałyśmy w pobliżu. Ustawiliśmy się w zwarty szereg i, posuwając się krok za krokiem, zasłoniłyśmy sobą piwniczną izbę. Pieśń — „A czemuż wy, chłodne rosy, padacie” wykończyła ten obrazek o ludzkiej dołki-niedoli. Za chwilę przedstawiliśmy drugi — wiejski obrazek, w drugiej, obok — izbie.

Leżał tam już na łóżku, zgrzebną płachtą odziany, Jasiek. Obok niego matka klęcząca. Gdyśmy śpiewały, tworzyli jakby żywy obraz, bo zastaniając piwniczną izbę, musiałyśmy chłopską odsłonić. Wy, gdybyście to robili, zrobicie oczywiście tak, jak wam warunki będą pozwalały.

Obrazek drugi złożyliśmy z dwu części. Pierwsza według opracowania Jadwigi Turowiczówny wiersza pt. „U proga” (z 1—2 nru „Teatru Ludowego” 1932 roku). Dla całości obrazu podaję poniżej to opracowanie bez zmian.

Nędzna chata wiejska — zmierzch — w chacie pod obraza-

mi świętych, przy oknie leży Jasiek na tapczanie, przy nim klęczy matka. Wokół izby klęczą kobiety wiejskie, przy drzwiach, w nogach tapczana stoi Anioł, na ławie pod ścianą, z przeciwnej od tapczana strony siedzi babka, przy niej klęczy dziewczyna. Klęczące kobiety modlą się półgłosem, tak, że tworzy się szmer, na tle którego mówią: babka, matka, Jasiek, dziewczyna i Anioł, czasami wśród szmeru słychać żalosne łkania, czasem westchnienie. Głośno i wolno mówią chóralnie kobiety: „Święta Panienko, módl się za nami”. Jasiek mówi głosem czystym, ostatnie słowa nawet przerywanym, po jego śmierci matka z płaczem rzuca się na jego ciało.

BABKA

(do dziewczyny)

W okienku chaty zmierzch stoi siny ...
umiera matce Jasiek jedyny,
umiera Jasiek pod obrazami ...

KOBIETY

(modlitewnie)

Święta Panienko, módl się za nami!

ANIOŁ

Nim pierwsza gwiazda w niebie zaświeci,
już ci ta dusza z niego uleci ...
nim pierwsza rosa łzami ukanie,
już ci mu w piersiach serduszko stanie.
Już ci mu znaczą śmiertelne zorze,
już po nim łuny latają boże,
latają łuny razem z cieniami ...

KOBIETY

Święta Panienko, módl się za nami!

BABKA

Skróś izby słysząc głosy szepczące,
za czarnym borem ugasa słońce,
za czarnym borem śmierć trawę kosi,
coś jakby wzdycha, żaleje coś ...

JASIEK

A skąd, matenku, to granie płynie?

MATKA

Cichoj, synaczku! To świerszcz w kominie ...
to świerszcz, Jasieńku, między belkami ...

KOBIETY

Święta Panienko, módl się za nami!

JASIEK

Oj nie, matenku! nie świerszcz to wola,
to są skrzypeczki rajskie anioła ...
to anioł gra tak na onej drodze,
co ja nią płynę, co nią odchodzę ...

MATKA

Jeszcze się skrajem dopala boru
ognisty rąbek łuny wieczoru,
jeszcze się modrzy ten pomierzch siny,
jeszcze ci pożyć, Jasku jedyny!

BABKA

Skróś izby lecą szepczące głosy,
za czarnym borem zgrzyt słysząc kosy,

za czarnym borem trawa się chyli,
cości lka w izbie, wzdycha, a kwili...

JASIEK

Co to, mateniko, za oknem płacze?

MATKA

To wierzba, synku, w szybę kolacze...
wierzba, Jesieńku, trzęsie listkami...

KOBIETY

Święta Panienko, módl się za nami!

JASIEK

Oj nie, mateniko, to płacze chata,
że mi już od niej... że mi ze świata.
To strzecha płacze nad głową moją,
że domowinę inszą mi stroją...

MATKA

Jeszcze różaność mieni się w niebie,
jeszcze, Jasieńku, pora na ciebie...
jeszcze się rosy bielą na łące,
jeszcze serdeczko bije mdlejące!...

JASIEK

Co tak, mateniko, huczy z daleka?

MATKA

Cichoj, synaczku, to płynie rzeka,
rzeka bystrymi płynie falami...

KOBIETY

Święta Panienko, módl się za nami!

JASIEK

Oj nie, mateniko, nie rzeka płynie,
siekiera oto rąbie w dębinie;

BABKA

siekiera rąbie, deski wycina,
będą tu matce chowali syna...

MATKA

Jeszcze te łuny zachodnie grają,
jeszcze się gwiazdy po mgiełkach tają,
jeszcze się miedze nie urosiły,
jeszcze ci pora, Jasieńku miły!...

DZIEWCZYNA

Chwila za chwilą cichutko bieży,
izba anielskich pełna pacierzy,
za czarnym borem bliższy chrzest kosy,
noc idzie z dzbanem nzbierać rosy.

JASIEK

Co to, mateniko, tak szumi, huczy?

MATKA

To wiater, synku, polem się włóczy,
włóczy się wiater, targa kłosami...

KOBIETY

Święta Panienko, módl się za nami!

JASIEK

Oj nie, matuchno, nie wiatr to gędzie,
to szumią srebrne pióra labędzie,
srebrzyste pióra, co mnie obtulą
z sukmaną siwą, zgrzebną koszulą...

BABKA

Gaśnie na niebie zorzeńka sina...
za czarnym borem śmierć traw docina,
niesie już nocka rosę we dzbanie,

MATKA

już ci umierać, moje kochanie!

JASIEK

Co to, matenku, u drzwi się bieli?

MATKA

To len, synaczku, len na kądzieli...
wrzeczono oto srebrzy nitkami...

KOBIETY

Święta Panienko, módl się za nami!

JASIEK

Oj nie, matenku, nie len to biały!
to rajskie liście ku mnie powiały...

to mi się mleczna otwarła droga...
to dusza moja stoi u proga!...

ANIOL

Za czarnym borem ucichł chrzest kosy,
Śmierć ją ociera z gryzącej rosy,
z gryzącej rosy, z gorzkich łez ziemi,
co nad trawami płacze polnemi...

BABKA

(ze łzami)

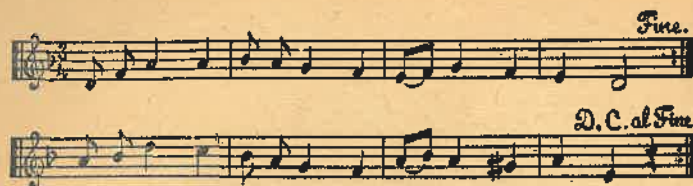
W okienku chaty miesięczek siny,
leży na ławie Jasiek jedyny,
umarły leży pod obrazami...

KOBIETY

Święta Panienko, módl się za nami!...

Podczas całego przedstawienia musi być utrzymany nastrój wielkiego smutku. Światło wieczorne, coraz słabsze, ma podkreślać jakby współzucie przyrody z człowiekiem. Wraz z przygasaniem życia chłopca gaśnie światło dnia.

Jasiek umarł. Babka, dizewozyna ukłękły — matka płacze — przygarnęła do siebie ciało syna — nie wskrzesi już go — nie. Podniosła się oto z kłęczek któraś z kobiet, próbuje matkę podnieść, gestem przetłumaczyć, coś tu płacz pomoże? „Sukmanką siwą” — przykryją oto trupa. Anioł już odszedł, skupiony w sobie, cichy... Powoli rozchodzą się sąsiadki. Wyszła też po coś babka. Matka została z synem sama... My sąsiadki, kobiety, stanęłyśmy obok, niedaleko, tworzymy chór, jeżeli będziecie grać na scenie, to za kulisami, jeżeli w świetlicy, to obok izby... Śpiewamy cicho, łagodnie, współczująco.



CHÓR

A gdy skonał w czarnej chacie
Jasienko miły,
poszła matka prosić dzwonów,
by mu dzwoniły...

(Dzwignęła się matka. Z trudem oderwała od synaczka.
Z cichym łkaniem wychodzi z izby. Podeszła do okna. Do
dzwonów kościelnych, za oknem śpiewa. Ręce wyciągnęła
do nich, błagając:)

MATKA

Mój synaczek, mój rodzony
w trumience leży,
o zagrajcie wy mu, dzwony,
z tej białej wieży!
Niechaj idzie głos bijący
o jasne słońce,
przez te pola, przez te lasy
z wiatrem szumiące...

(Mocnym, twardym dźwiękiem wpadamy w ten jej śpiew.
Śpiewamy twardo, ostro; na tle sopranów, drugie głosy na-
śladują dźwiękliwe, a monotonne, bezlitosne bicie dzwonów)

CHÓR

Ale dzwony twarde serca,
zimną pierś miały:
będziem jemu dzwonić, matko,
za talar biały.

(Za każdym dźwiękiem, za każdym naszym słowem matka
kurczy się w sobie. Ręce jej opadły, plecy zgięły się w bólu,
łkanie wstrząsnęło piersiami. Biczują ją te bicia dzwonów,
biczują złe słowa — samotna, pełna bólu i rozpacz wraca
placząc...)

(ciszej)

będziem jemu dzwonić, matko,
I wróciła, narzekając,
do pustej chaty,
i strząsnęła wszystkie kąty
i zgrzebne szmaty.
I nic więcej nie znalazła
prócz onej świty,
którą syna trup zczerniały
leżał przykryty.

(Ciężka droga powrotna dla złamanego bólem ciała. Po-
nura i smutna chata z nieżywym dzieckiem znów stanęła
przed nią, ziejąca pustką i nędzą. Cóż w niej znajdzie?
Wie przecie, że talara białego w niej nie ma. Gdyby pie-
niądz biały świecił w niej srebrem, nie musiałby umierać
przecie syn, synek — Jaśko. Przecie jednak szukać trzeba.
To tu, to tam lachy zgrzebne przetrząśnie, do łóżka zajrzy...
Nie znajdzie nic, — przy łóżku tedy przykłęknie w bezsile
i głowę złoży u wezglowia Jaśkowego. Ramieniem ogarnie

leżącego pod switą Jaśką. Skaży mu się z płaczem, śpiewem — na swoją dolę i opuszczenie...)

MATKA

Nieszczęśliważ moja dola,
Jasienku miły,
chybaż tobie lzy te moje
będą dzwoniły...
Chyba moje narzekanie,
bić będzie z rosą
kiedy ciebie na mogilki
z chaty wyniosą.

(Gdy śpiewa „Chyba moje narzekanie” — drugi głos bardzo cicho i melodyjnie śpiewa:)

CHÓR (2-gi głos)

Chyba twoje narzekanie — twoje narzekanie
bić będzie z rosą,
kiedy Jaśka na mogilki — Jaśka na mogilki
z chaty wyniosą...

(Rzędem, jedna za drugą ustawiłyśmy się cichutko. Nastrój między nami taki, jakbyśmy szły za pogrzebem kogoś bardzo bliskiego... Zasłoniłyśmy sobą całą izbę. Patrzymy wszystkie w jedną stronę, jakbyśmy obserwowały to, co się dzieje przed nami)

CHÓR

I wynieśli za próg czarny
trumienkę lichą,
a za synem poszła matka
ścieżyną cichą...

I nie grały jemu dzwony
z wysokiej wieży,
jeno szumiał las zielony
i wietrzyk świeży...
Jeno dzwonki te liliowe,
co w borze rosą,
żeby dzwonić chłopskim trumnom
w drogę żalną.

(Kończymy coraz ciszej, coraz łagodniej, coraz żałośniej.
Drugie głosy znów wybiją oddźwiękliwe bicia dzwonków.
Jeno cicho, jeno łagodnie, z dobrocią...)



SZUKAMY RADOŚCI...

(Próba „teatru z głowy“)

Nie mało na świecie ludzkich tęsknot przepadło w niepamięci. Nie mało zgubiło się uczuć. Nie mało dni przepracowanych przy nisko schylonej ku ziemi głowie wessało w siebie dobrych spojrzeń i miękkich słów.

Matka nie ma czasu dla dzieci. Praca ją dzieciom zabiera. Dzieci nie mają ciepłych serdecznych uczuć dla rodziców. Kij je wypędził, szorstkie słowa onieśmiewiły. Zdarza się, że samolubni rodzice dziecińskich praw do życia uznać nie chcą, ale zdarza się i też, że dzieci rodziców gnają precz od siebie, w zatracenie, na żebry, „we świat”. Zdarza się, że chorej matce, czy babce nie ma oto kto usłużyć, wody łyżkę podać, ale zdarza się jeszcze inaczej: oto ludzie, zdawałoby się dotychczas obójtnie obok siebie żyjący, w nieszczęściu nagle przystaną i spojrzą na siebie inaczej. Odrzuca precz egoizm i niewygodę osobistą, twardniejąc dla siebie, drugiemu dają całą słodycz serca i całą radość dobrej duszy.

Poszukajmy. Z ogromnego nawału ludzkich spraw weźmy jeden drobiazg, iskierkę dość małą, ażeby jej w życiu powszednim nie zauważyć, dość jasną jednak, ażeby przy niej zobaczyć ciepłe, rozserdecznione miłością serce.

Posłuchajmy: zachorowała ciężko matka. Chora była już dawniej, nie skarżyła się jednak, nie mówiła. A teraz oto koniec, nie wstanie z łóżka. W domu ojciec i dzieci drobnych gromada. Najstarsza dziewczynka do szkoły jeszcze chodzi. Cóż? Rozpacz. Nająć kogo do roboty? nie ma za co. Ojciec? nie zrobi babskiej roboty!...

Ale oto są dzieci. Jest najstarsza dziewczynka, trzynastolatka. Ona weźmie w swoje drobne ręce ster niewieściej pracy w domu. Jak może i potrafi. I oto ta mała dziewczynka stanie się ośrodkiem domu. Przez nią, przez jej pogodny humor i dobre serce chora matka przeżyje wiele jasnych chwil mimo udręk, jakie jej zsyła choroba i bezwład. I to będzie ta radość, której szukamy. Nieoczekiwany hart ducha — w dziecku.

Postaramy się teraz z tego podchwyconego w życiu drobiazgu stworzyć obraz łatwo zrozumiały dla tych, którzy będą nań patrzeć. Na scenie potrzebne nam będzie urządzenie izby wiejskiej, tylko tej zwykłej, codziennej, w której się całe życie przebywa. W tej izbie będzie się wszystko odgrywać. Zdarzeń wiele nie będzie. Nasza sztuka zobrazuje głębię stosunków między matką a dziećmi; będzie miała raczej charakter zadumy, refleksji, tym bardziej więc musimy się w nią wmyśleć i wgłębić.

Część I.

Noc. Świeci się mały kaganek lampki. W izbie, gdzie popadnie, na łóżku, na podłodze, na ławie śpi cała rodzina. Dzieci: czworo małych, jedna starsza dziewczyna — owa trzynastolatka, ojciec, matka. Matka śpi z dziećmi. Jak to bywa w życiu, w każdym kącie poutykane są te dzieci, „w nogach“ łóżka, pod ścianą... Jest cicho, jak to nocą... śpią. Ale oto ciszę przerywa jęk. Zrazu cichy, potem coraz głośniejszy, coraz bardziej przejmujący. Ruszyło się jedno i drugie dziecko.

Jęczy matka. Nawołuje kogoś z rodziny: męża, Antosia... Porwała się Antosia z ławy, gdzie spała, do łóżka przybiegła. Zapłakało któreś z młodszych dzieci... Nie może się dogadać z matką, ojca budzi, płomyk lampki podkręciła wyżej, jaśniej w chalupie się zrobiło. Dzwignął się wreszcie ojciec ze swego kąta. Rozespany, do łóżka matki podszedł. Dzieci rozbudzone, przestraszone posiadały jak

pisklęta na swoich barłogach. Stanowią one jakby tło dla naszego obrazu. 3 osoby: jęcząca, czerwona w gorączce matka, bezradny, nic nie mogący pomóc ojciec i Antosia jeszcze w swoim dzieciństwie mała, ale już dzielna i chwytająca wypadki za głowę, będą głównymi punktami tej części sztuki. Tych dwoje chce matkę ratować. Jak? Niczego się od niej nie można dowiedzieć; jęczy, przycicha, znów jęczy.

Podali jej wodę, kompres przyłożyli na głowę, mokre szmaty położyli na sercu... Co ją boli? nic nie wiadomo. W końcu ojciec zdecydował: trzeba pójść po Pietraszkową, może ta co pomoże.

Noc, ciemno, kto pójdzie? Może ojciec? Kapotę na siebie narzuci, a matkę zostawi z dziećmi. Może Antosia? Do towarzystwa weźmie brata dziesięciolatka. Ale chyba ojciec... Poszedł.

Za chwilę dość długą przyszedł z Pietraszkową. Któż ona? Ano babka, umiejąca, jak mówią we wsi, i chorobę rozpoznać i uroki odczynić. Minę ważną ma, znać, że nie u jednego chorego bywała. Przejęta jednak widać tym wezwaniem, bo od razu do łóżka podbiegła. Cóż pomóc może? Jeden zabieg zna najlepiej. Uroki odczyni. Bo to nic innego, jak tylko te uroki właśnie. Pyta o to, czy czasem wczoraj nie spotkała matka kogo obcego, kto był tutaj przed wieczorem — i tak, czy inaczej utwierdzi się w przekonaniu, że nic przecie innego, jak uroki. Odczyni je z całym ceremoniałem. Znać chyba ten zabobon? Wszędzie go pełno. Wierzą ludzie w uroki, jak w świętość. Poszukajcie u siebie na wsi. Na pewno nie raz były odczyniane. Więc i wasza Pietraszkowa potrafi na scenie je odczynić. Nie pomogą i na scenie one, tak samo, jak w życiu. Próżno dzieci oczęta wypatrują, jak tajemniczy węgiel z sykiem się

w szklance wody zanurza, próżno ojciec z Antosią unoszą ciężką matczyną głowę, by się urocznej wody chora napiła.

Jak kłoda, ścięta siekierą, leży matka bezwładna na swoim barłogu. Resztki przytomności straciła, jęczeć nie przestała. Bezsilna jest wobec tej choroby stara Pietraszkowa. Umęczona i ona próżnym lekowaniem. Ojca na stronę bierze. O księdzu wspomina. Nic tu ona nie pomoże. Pana Jezusa by z księdzem zaprosić i na śmierć kobiecisko szykować. Coś bo się musi jej na wnętrzu oberwało i nic tu człowiek nie zrobi.

Świt już w okna zaglądał, gdy Pietraszkowa ogarnęła, co tam miała z sobą i poszła. Matka jakoś przycichła. Na księdza ciężko się ojcu zdecydować. Do rana poczeka. Może przejdzie strach i choroba. Po co śmierć wywoływać i dzieci straszyć? Ale zwątpienie już się w serce zakradło. Oczy popatrzyły na dzieci drzemające i skulone. A jeżeli umrze? Co wtedy? Kto ten drobiazg odchowaa? — Jedna Antolka cicho i zwinnie krząta się przy matce. Ojciec głowę ciężką zwiesił, łokcie oparł o kolana, pochylił się cały. Zmarł... A dziewczynina to kompres matce na głowie zmieni, to poduszkę poprawi, a pod mokrą na piersiach koszulę suchy ręcznik podłoży...

Antolka — cicho wyszeptał ojciec. — Co, tato? Chodź, siadź tutaj. Gdyby, wiesz, matka — tego umarła, czy ja wiem, bo to wiesz różnie bywa, a z nią coś niedobrze — — potrafisz zająć się dziećmi? potrafisz? Jak myślicie? co powie mała dziewczyna, Antola... potrafi. Ani nie obejmuje wzrokiem i myślą tej odpowiedzialności, ani ma jej potrzebę w swoim dziecinnym jeszcze sercu. Przytaknie głową, czy wargami wypowie to przyrzeczenie: potrafi, ale najważniejsza dla niej teraz rzecz inna. Oto matka może umrzeć. Dopiero co powiedział to ojciec. Ranilo ją to słowo w sa-

mo serce. Od znów milczącego ciężko ojca odeszła do łóżka matki. Cóż tam robi? Pochyla się nad matczyną głowę, niby to coś poprawiając, a w gruncie rzeczy kryjąc łzy. Przygarnie się nagłym gestem ku zwisającej matczynej ręce jak bezradne małe dziecko?

Pomyślcie, co będzie prawdziwsze i bliższe w sercu tej z was, która zagra rolę Antosi.

Tak zostawimy tę izbę. Ojca na razie pod piecem w ponurej zadumie, dzieci po kątach stulone, śpiące, matkę zacięła i Antosie obok niej splakaną, jakby mniejszą, bezradną...

C z ę ś ć II.

Matka nie umarła. Nie wstała jednak już z łóżka. Leży oto sama jedna w izbie na łóżku czysto zasłanym. Nie śpi, bo oczy raz po raz otwiera. Coś się w niej owej nocy przepaliło widać, gorączki już takiej nie ma. Twarz jej się tylko wydłużyła, zapadła i oczy zwiększyły się, podbite ciemnymi kręgami. Ile już tak leży? tydzień? dwa? Nie długo na dnie, długo dla pracowitego, do ruchu przywykłego ciała.

W izbie pusto. Godzina przedpołudniowa. Na nalepie parę garnków nieumytych stoi, miski ze śniadania, na ławie ubrania jakieś w nieładzie porzucone, ojcowe buty brudne, zablocone przy stole — — Ktoś tu się śpieszył w tym domu i w pośpiechu tam i sam rzucił wszystko, myślący tylko o sprawie, do której odchodził. Śpieszyły się dzieci idące do szkoły, śpieszył się ojciec, ruszający w pole.

Została sama matka widząca nieporządek i zło swego chorowania, ale cóż? przecie nic nie może zrobić! Dźwignęła się na rękach, uniosła, nogi na podłogę już spuściła, ale tyle i tego wysiłku. Ręką sięgnęła ku ławie w pobliże łóżka.

Łaszkę tam leżącą, sukienki czyjeś, złożyła jeszcze. I już bezsilna na poduszki opadła. Znow za chwilę spróbuje dźwignąć się, wstać z takim samym skutkiem. Zrezygnuje wreszcie. Tak jest, już jej choroba widać pisana, już taka dola.

Skrzypnęły drzwi. To sąsiadka weszła po coś. Chciała o to czegoś pożyczyć. Garnka? wymyślcie sami, czego. Ale jak to sąsiadka, przyszła i tak się zacudowała, że o garnuszku zapomniała. A to źle czegoś matka wygląda, czy aby czasem nie gorzej jej? A to, moi złoci, ileż to już leżycie? Marnuje się przy tym leżeniu gospodarstwo — ot i nieporządek w chałupie zostawili i polecili wszyscy, bo to, myślicie, chłop robi, jak się patrzy, gdy go baba nie dopilnuje? A ot i to moiście wy ta wasza choroba to jakieś paskudztwo. Mówi Pietraszkowa, że się wam pewnikiem coś oberwało na wewnątrz — — kto ta wie, może się i oberwało? Bo to, pamiętacie, jak was w zimie też jakisi ból sparł, żeście aż na korycie usiąść musieli? Patrzę z podwórza, coś z wami niedobrze, tom przyleciała i zaprowadziła was do chałupy. To musi od wtedy jeszcze... W mieście toby was jeszcze doktory i wyleczyły, choć kogo tam oni wyleczą! Ale zawsze choć by powiedzieli, co jest, a tu co, giń, biedny narodzie, nie poradzisz!... A najgorzej to z tą chałupą i chudobą. Myślicie, że można zawierzyć dziecku, albo chłopu, że bydlęciu jak się patrzy przyrzuci jedzenia? Ani to umyte, ani obrządzone jak się patrzy, ani nakarmione. Bo byście moiście wy chociaż Antośkę przestali posyłać do szkoły, co ma dziewczynisko z tej szkoły? a tak, pomogłaby co w domu i wy byście mieli wyrękę.

Przez cały czas gwarzenia kumosi matka z rzadka dorzuca to i owo słowo. Jeszcze nie wydychała fizycznego zmęczenia po próżnych trudach dźwignięcia się z barłogu, a już

ją przygwoździła obłudna i niedobra litość. Już aż rumieńce ostre wystąpiły jej na bladą twarz, ale ciągle jeszcze znosi litościwą obecność sąsiadki. Czujecie to położenie matki? Gdyby to ona była na miejscu tej kumy, nie gadałaby tyle, to pewna. Uwinęłaby się raz i drugi i podparłaby tą swoją pomocą cudzą słabość, jak się podpira słabą, nadłamaną gałąź współczującym, o ziemię wpartym drewnem.

Wszystko jej przybaczyła dobra kumosi. I jej nędzę obecną i nieład w gospodarce i niemoc bezsilną i to najgorsze, że kto wie, jak z tą Antosią, ze szkoły kto wie, czy nie trzeba będzie dziecka zabrać, choć się tak dobrze i chętnie uczy... Jakże tedy z wylaniem i serdecznością rozmawiać — prawda, kochani? — Ale oto patrzcie, Antośka przyleciała ze szkoły.

Nie teraz. Od chwili już jest świadkiem rozmowy gospodyń. Zagadła do matki, gdy przyszła, na powitanie i potem, czy tam jej czego nie trzeba. Uśmiechnęło się do niej matczyńsko, zaprzeczyło: nie, nic nie trzeba... Uwinęła się tedy dziewczynka po izbie. Widzicie? Ogień rozpalila i wodę grzeje na naczynie. Fartuch szkolny z siebie zdjęła i inny nałożyła. Chusteczkę spod brody odwiązała, związała na tyle głowy, żeby nie przeszkadzała. Zakrzętnęła się po izbie. Już ojcowe brudne buty wyniesione do sieni. Już pościel poskładana, naczynie umyte, a Antolka siadła na małym stołeczku, przy piecu i skrobie ziemniaki.

Sąsiadka jakoś straciła rezon. Nic tu już po jej litościwym biadoleniu. Zagadła jeszcze to o tym, to o owym, poszła. Jeszcze się popatrzyła od drzwi na Antosię, głową pokręciła — jakaś stropiona. Cie wy, jaka to ta smarkuła, kto by się spodział!

Matka z córką zostały same. Matka jeszcze umęczona wizytą i dychająca zmęczeniem, córka, popatrująca, czy też

nie trzeba czego uładzić przy matuli. Coś tam dziewczyna dusi w sobie, rada by wypowiedzieć głośno, nie może jednak znaleźć początku tego gadania. I ją przykro dotknęło litościwe, a złe gadanie sąsiadki. Może o tym chce z matką mówić? Posłuchajmy.

Pogadują obie o tym, co było w szkole, na obejściu co słyszeć, coś tam przypomniała sobie matka, że trzeba jeszcze w kurniku, poucza, jak i co, rwie się jednak rozmowa i nijak nie może się skleić. Zobaczyła wreszcie matka, że coś jest nie w porządku. Pyta. Wtedy dziewczyna wyzna. Nie pójdzie już więcej do szkoły. Chce zostać w domu i pomagać matce. Jak myślicie, co matka powie?

Nie zgodzi się z początku. Troska to jej największa ta szkoła Antosi. Nie zgodzi się z początku. Będzie przekonywać dziewczynkę, że wstanie niedługo i że jakoś wydoli się znów wszystkiemu, że na pewno za parę dni wstanie. Szkoda bo przecie nauki, żal ci będzie, Antosiu, przecież lubisz chodzić do szkoły.

Ale mała nie daje matce przyjść do słowa. Już postanowiła. Jeszcze jutro pójdzie do szkoły i powie pani o tym, a jak będzie miała chwilę wolnego czasu, to poczyta i tak jakoś sama się douczy, czego ze szkoły nie dostanie. Zobaczycie, że będzie dobrze; po co mają wam tutaj labidzić, że to, że tamto? Tak, jak się chodzi do szkoły, to ani posprzątać, ani misek pomyć na czas nie można. Zobaczycie, że będzie inaczej.

Zapałała się Antosia do tej nowej myśli. Już małuje matce obraz tego, jak to ona wszystko urządzi. Kiedy co będzie robić. Jak to matka będą sobie spokojnie leżeć, a popatrywać, a robota tam i sam raz raz sama się zrobi. Tylko powiecie, co i jak i o nic się już więcej nie będziecie martwić.

Ho! ho! Jak też to będzie! Ciepły, serdeczny prąd powiał między nimi. I matka się ożywiła. Pogadają sobie oto bliskie, najbliższe sobie, serdeczne.

Tak je zostawimy.

C z ę ś ć III.

I znów ta sama izba. Tylko uładzona, czysta, jasna. I znów matka w łóżku, źle wyglądająca, mizerna, schorowana. Siedzi przy niej ktoś jej bliski. Siostra, przyjaciółka z dawnych, młodych lat? W izbie poza nimi dwiema nie ma nikogo. Godzina wczesnego popołudnia. W trakcie ich rozmowy to jedno, to drugie do izby wchodzi dziecko. Opanowane bardzo, zajęte swoją jakąś ważną przydatnością. Pod koniec rozmowy zasiadą na stałe do jakiejś pracy. Jedno do odrabiania lekcji, drugie podstawki pod wazonki będzie strugać, trzecie do skrobania ziemniaków zasiędzie, czy drewnka ze dworu przyniesione będzie na piec układać, czy wreszcie naczynie z obiadu pomyje.

Matka rozmawia. Teraz ona więcej mówi, a ta druga, siostra, czy przyjaciółka więcej słucha. Rozmawiają o obecnym położeniu w matczynym domu. Antosi w mieszkaniu nie ma, ale ona jest głównym przedmiotem rozmowy. Nie może się matka nadziwić jej rządności, gospodarczości i pogodzie. Dzieciuch to przecie jeszcze, a pracuje i rządzi, jak stary. Bo to przecie ona rządzi. Drugie dzieci jakoś tak sobie ułożyła, że jak w zegarku chodzą, ani nagonić trzeba do czego, ani popędzić. Czy jej matka nie pomaga radą, pewnie, że pomaga, nakazuje, gdzie, co i jak, czasem to całkiem tak wygląda, jakby tutaj na tym łóżku leżała głowa domu, a po obejściu i chacie chodzą jego ręce i nogi rozumem nasycone. Ale zawsze główna zasługa to tej Antosinej

rozsądności i dobroci, że się tak bardzo matka nie musi o wszystko martwić.

Ma bo i z tą chorobą matczyną, bo ma ... Pewnie, ale i czasu do myślenia też wiele ... Tak i z tymi dziećmi. Np. jak się chodziło między nimi, do tej i owej roboty używało, to nie było czasu pomyśleć o każdym z nich oddzielnie. Dzieci, to dzieci, jedno takie, grzeczne pochwalilo się, drugie inne, niedobre, kije brało. Czy to się człowiek zapytał, dlaczego takie, dlaczego inne? Skąd ta niegrzeczność? Co je ponosi? Skąd ta przekora? Zmalujesz co? majtki podrzesz na płocie, koszulę poplamisz, wyłoi ci ojciec skórę, wygarbuje matka; — krzyczysz, tłumaczysz się? co tu z tłumaczenia, kiedy majtki podarte. I tak to życie szło. Teraz jakoś inaczej. Ręce, nogi matczyne niewładne pracować, może tylko serce i głowa.

Serce słabe do zdrowych się garnie i samo dobroci, ile mocy użycza, głowa coraz to nowe myśli hoduje. Oczy na dzieci patrzą i dzieci niby coś nowego poznają. Niby te same, a inne. Każde inne, każde w sobie własne, człowiecze, różne od drugiego. Dobrze by to było, gdyby tak człowiek w codziennym, drepcącym dniu znalazł czas na takie myśli. Może mniej by się zharowywał? układałby czas tak i tak, według kolejności spraw? Może mniej kijów Władek by dostał? byłby spokój w czasie zdobytym na wysłuchanie jego chłopczyńskiej racji?

Tak oto sobie od serca obie pogwarzają. Wynika z tej rozmowy, koniecznie musi wyniknąć rzecz taka: dzieci, dotychczas żyjące obok rodziców, nawet obok dobrych, kochających rodziców, nie dość dobrze były przez tych rodziców znane, rozumiane, cenione. Powszedni dzień przynosił z sobą raczej troskę o zewnętrzne, powszednie sprawy, niż o to,

co się w ich sercach, duszach, mózgach dzieje. Nieszczęście spadło na ten dom wysunęło na pierwszy plan energię, wolę, zmysł organizacyjny i pogodę ducha najstarszej matczynej córki. Zaraz za tym, zmalale napięcie choroby matce, kulturalnej i dobrej, ale jak dotąd bardzo tylko zapracowanej matce, przyniosło na myśl refleksje na temat tych właśnie pod przewodem Antosi wysuwających się na pierwszy plan dzieci.

Na tle tych refleksyj coraz bardziej, coraz mocniej zacieśniają się między matką a dziećmi węzły serdecznego przywiązania. Coraz częściej matka do swego drobiazgu odnosi się jak do współgospodarzy tego domu, budząc przez to w nich poczucie odpowiedzialności, coraz częściej w dziecku dostrzega — człowieka. Coraz mocniej, coraz świadomiej garną się ku jej sercu — dzieci. Zobaczcie ...

Siostra, przyjaciółka — już poszła. Ledwo się drzwi za nią zakmnęły, już się Władek poderwał, pytając, czy aby czasem mamie jeść nie dać, na obiad mało jadła ... Nie, jeszcze nie, ale coś tam struże Władek pod oknem — cóż to takiego? Zacerwienił się chłopak. Struże podstawki pod wazonki, Antolka mówi, że trzeba, żeby wiew był od spodu. Potrafisz? Ho ho! czemu nie! Patrzcie, tu zrobię tak, tu zetnę, tu zestawię ... Gospodarz z ciebie! ... Uśmiechają się do siebie. Dobrze im razem.

Ale może jednak matka zje trochę zupy. Antośka mówiła, że teraz sama nie może przyjść, bo z tatem gnój wyrzuca, ale jemu, Władkowi, kazała zupę matce podać — Niechże będzie. Zje. Ciepłą jeszcze z pieca chłopak wyjmie. Ledwo do matki podszedł, a już Marysia, siedząca dotychczas nad zeszytem, podbiegła ku niemu i matkę pomogła dźwignąć z poduszki. Wiadomo, że wszyscy w tym

domu zmówili się, ażeby matuki dobrze było, mimo tej biedy chorobowej. A oto i Antosia weszła na to ich wspólne mocowanie się z bezwładem matki. Od razu zakrzętnęła się sama około nich. Uniosła poduszki, podparła, usadziła, miszkę, czy talerz w słabe ręce włożyła...

Ciężko wam, powiada matka. Dychająca z wysiłku, przybladła, myśli inne, niż te, o których niedawno mówiła, do głowy jej naszły. Już może lepiej, ażeby umarła, nie tak byście się męczyli. Nie łatwo jednak poddawać się smutkowi w Antosinej obecności. Jak dorosła dziewczyna ofuknęła matkę rozżaleniem. Któż to widział takie rzeczy wygadywać? cóż ona by, Antośka, bez matczynej obecności robiła? Czyż matka nie widzi, że jej rada i słowo wszystkich tu wspiera? Jakże tak można mówić? Do dzieci innych się odwołała. Już Władek, już Marysia, już Józus jej ku pomocy stają. Wiankiem dokoła łóżka stanęli... Józus, czy Staś, który tam z nich młodszy, też swoje dorzuci: bo może wam, mamo, co trzeba, to my zrobimy!...

Nie, już nic matce nie trzeba. Ma serce pełne miłości i słodczy. Ile może ogarnąć ramieniem, przygarnie do siebie drobiazg. Na głowie jednej i drugiej rękę zatrzyma. Przez lzy z pełnego serdeczności serca płynące powie w te ich główiny płowe i ciemne: moje male, moje male!...

Przygarną się do niej te główiny, kto wie, może pierwszy raz w życiu, w takim zbiorowym, serdecznym odruchu. Tak je zostawimy, wzruszone, rozradowane, żywe przywiązaniem.

Tyle wystarczy, myślę. Spróbujcie te trzy tu zapisane obrazki odegrać. Odegrajcie je w Przedkołu, z młodszymi, z dziećmi prawie. Dzieci male do pomocy weźcie. Ale na

przedstawienie koniecznie zaproście swoje matki, bo to dla nich tę „sztukę z głowy” zagrać, może na „Święto matki”, może nie czekając Święta. Słów, czyli t. zw. „ról” nie zapisywałam. Każde z was, zastanowiwszy się, przemyślawszy z serca i z żywego uczucia, wygrzebie najodpowiedniejsze słowa w zdania. Starajcie się, by były proste, a serdeczne i gorące. Starajcie się nie grać, ale czuć i rozumieć, bo na czuciu i rozumieniu się wzajemnym powinna się budować więź miłości domowej.



II
O NOWĄ WIEŚ
I NIEPODLEGŁĄ POLSKĘ

R A D A

(Z powieści Władysława Orkana pt. „W roztokach“)

Poschodzili się gazdowie do chałupy Suhaja. W świetlicy tę chałupę zrobimy. Dokoła stołu będą siadać, na ławach, krzesłach, gdzie popadnie. Co który wejdzie, przygwarzy se z tym i owym. Suhaj siedzi przy stole, duma, fajkę kurzy jako i insi, do rozmów się nie miesza — wójt — i honor swój zna i ważności se przydać chce tym milczeniem. Inni rozmawiają:

GNIECKI

(mrukliwie)

Dość już tych podatków. Diabli wiedzą, kie im sie to przewali...

CICHAŃSKI

Hej! a tu nowe ciężary idą. Jak i z tą szkołą. Potrzebne to było?

DOMAGAŁA

Dyć powiedzcie! Lubomierz nie ma szkoły, a żyje. Ino na ten biedny Przysłop zwalują wszystko, jakby sie tu samo śreblo rodziło.

GNIECKI

A tu skale, skałeczki, same drobniutkie skałki.

SOLTYS

Za naszych czasów nie było szkoły, a przecie chwala Bogu człek na brak rozumu ni ma co narzekać.

MICHALCZEWSKI

Ho! Ho, ho, rozumu jest dość, ino człek nie wie, co z nim zrobić.

SOLTYS

Jakeś ta już głupi na ten świat przyszedł, to ci nikt rozumu łopatą nie włoży... darmo...

DOMAGAŁA

To nic innego, ino ludzi, rzekę, nie mają kany podzieć i kładą chłopu na kark... a ty ich żyw!

GNIECKI

Dyć niejaki! Oni ino budżety układają, a ty płac!

SOLTYS

Tak ci, mój kumie. Niejeden powie: dyć-eś gazda. O co sie turbujesz? Ho! dyć-eś gazda. Bo sie tak nazywasz. Ale twoje gazdowanie nie warte suchej sieczki.

DOMAGAŁA

Ono nie jak! Przeszły te czasy, kiedy w roztokach wypasaly się setki owiec, kiedy woły chodziły same po lesie, ka je oczy niesły, a na polanach walały sie trawy szumiaste.

BRAT SUHAJA

Hej! na polanach! dziś nie usiecze, nie uskubnie, trawka jak szydło a i to dziki zryją i przewrócą.

GNIECKI

Las wieczny stał... Bukowe liście leciały pod nogi. Cetyna sie ścieliła w posłania hrube... Kanyś okiem dosięgnął — czerniawa i bory, po całym Gorcu wspinały sie smreki pod same wierchy. A nad wierchami toczył kola szerokie orel królewski.

DOMAGAŁA

Dziś góry stoją golutkie na wietrze, nic ich nie odziewa, chyba śnieg. Nad wyrębami wrony przelatują. Turbacz wyłysiał — idzie mróz i śmierć...

GNIECKI

I coraz gorzej ludziom w roztokach i coraz ciasniej, z roku na rok... Nieurodzaj na polu, do chałupy bieda się ciśnie najmniejszą szparką. Trudno to żyć i trudno gazdować, jak ni masz na czem.

SUHAJ

(który dotąd siedział zatopiony w myślach)

Słuchajcie!

(zwolna wstaje ze swego krzesła, pięści wyciągnął przed siebie, oparł o stół, oparł się na tych rękach całym ciałem)

Bracia i bratankowie moi mili i wy dalsi sąsiedzi. Wezwalech was tu na poradę na opiekunstwo gminie, co byście rozumem swoim wspomogli i uradzili zgodnie, jako ma być, jako sie naród ma w okoliczności zachować.

(odechnął, popatrzył po zebranych — ci siedzą zasępieni, niepewni, do czego Suhaj zmierza)

Wiadomo wam, boście przecie nie dzisiejsi, że każdy powiat wysyła co parę lat swoich elegantów na sejmy. To jest tak, jakżebyście wy mnie wybrali, dajmy na to, a ja sie tam przedstawił rządowi z całą personą, to jest... tak... z całą personą. Tych niiby, rzekę, posłów wybierają dopiero ci, których gminy na to postanowią. Dyc wiecie.

Oto rzekę — nadchodzi czas wyboru. I od starostwa przyszedł nakaz...

(Obejrzał się na pisarza. Mały człowieczek siedzący za nim na ławie zaczął gmerać w papierach rozłożonych na stole. Suhaj niecierpliwie jął mu pomagać, mieszając jeszcze bardziej szyki)

SUHAI

Nie ten... ani ten... E kiż to diabli? A może tamten, co w rękach trzymacie? Nie... Rozstąp się ziemio.

PISARZ

(jękliwe)

Pewnie znowu dzieciśka wywlekły.

SUHAI

No to już nie szukajcie. A sprawcie im pamiętne, żeby raz na zawsze wiedziały, co to urzędowy kawałek...

PISARZ

Ja im sprawię!...

SUHAI

(znów do zebranych)

Tak, moi mili. Nakaz jest z urzędu, jako-że gmina Przysłop ma odstawić ludzi, co by sie przed inszymi nie powsty-

dzi, a mieli na uwadze swój honor. Bo swój honor mieć to dużo znaczy. Może człek robić, co mu sie żywnie spodoba: jak ino swój honor ma, to jest godny i wszędy go ujrzą. Nie prawdę gadam?

WSZYSCY

Sprawiedliwie!

SUHAI

Ja was też po to zwołał, co byście radzili, jako ma być. Gazdowie jesteście każdy na swoim gruncie, stateczni i rodowi. Wasi ojcowie tę ziemię orali i wy ją orzecie na chwałę Bożą i na pożytek bliźnich swoich. Znają was wszędy z imienia i rodu i z pocciwości dobrej, nieokpiśnej. I u dalszych ludzi jesteście w poważaniu, bo wam szacunek miały czas wyrobić lata nie małe. Patrzeliście wy długo na tę ziemię, niejedna klęśka już przeszła nad wami, niejedna zmiana zaszła już od czasu, kie-ście ujrzeli to słonko, te góry...

DOMAGAŁA

(w zadumie)

E dyc, mój Boże! —

SUHAI

A odkądście zapamiętali tę kotlinę nieszczęsną, zawdy rody stały na wierchu i panowały roztokom, zawdy gazdowie starzy mieli pierwsze i ostatnie słowo i należny posłuch w narodzie. Baczcież, by sie waszym prawom nie działa krzywda, bo dziecińska rzecz słuchać, a ojcowska rządzić. Zwołałem was naprzód, żeby to powiedzieć i potem od was usłyszeć słowa mądre i pełne oparcia. Wybory idą, o tym

wiecie. Trza sie zastanowić, jak ma Przyslop wystąpić, co by honor swój pokazał światu calemu.

Bo weźcie se to na uwagę, że na was opierają się sprawy narodu i najprzewielebniejszego munarchy. Jak wy co postanowicie, to nawet władza musi sie długo namyślać, zanim to zmieni. Tak, moiściewy! A teraz nadchodzi czas uwagi... Trza sie oglądnąć za kim i postanowić dwu ludzi najgodniejszych wedle honoru swego. Radźcie, a uważajcie dobrze.

(Siadł ciężko na ławie, ocierając rękawem koszuli pot z czoła. Gazdowie pochylili głowy ku ziemi. Dumają. Fajki pykają milczący. Aż wreszcie Szymek Soltyś:)

SZYMEK

Dyć rada taka: niech ojciec Suhaj dobierze z pośród gazdów jednego i będzie. A jak nie, to my se uważmy, kogo dobrać...

PARU GAZDÓW

Słuszna rada!...

INNI

Sprawiedliwa!...

INNI

Hej!...

DOMAGAŁA

Niech już będzie, jako bywało dawniej.

(popatrzyli na Suhaja, co też powie)

SUHAJ

No dyć dobrze. Sam najlepiej wiem, jak bywało. I mogłoby tak na wieki zostać, po wsze czasy. Jak ojcowie robili i nieźle było, to po co nam to zmieniać... Ja ino chciał slyszeć od was słowo: jako, że sie nie dacie uwieść namowom tych, co by chcieli świat przeinaczyć i głupim rozumem swoim zastąpić rozum ojców, jako żeście są ludzie oparci i ku ochronie swoich obyczajów staroświeckich sposobni. Bo wam powiem zawczasu, że sie bez wojny nie obejdzie. Nadchodzą już te czasy, o których jest napisane w prorocत्वach królowej Saby...

(odwrócił się w stronę drugiej izby)

Hanuś!... Hanka!... Kanysi bezkurcya lata... Ona by wam wszyściutenko wyłożyła tak dokumentnie, że i księdza nie potrzeba. Kanysi lata. Nadejdą, powiada, czasy, że syn będzie stał przeciwko ojcu, córka przeciwko matce, a czeladnik przeciwko swojemu chlebobawcy...

PARU GAZDÓW

(do siebie)

Czy nie tak jest!

SUHAJ

Nadejdą — powiada — znowu takie roki, że sie słońce będzie ćmić, jak ta szyba zakopcona dymem, że sie deszcze będą lały z nieba bez ustanku, jak te potoki z uboczy, a ziemia pocznie rodzić same, samiutkie osty.

MICHALCZEWSKI

Dyć niejaki!

SUHAJ

I nadejdą — powiada w końcu — takie dni okropnego zgiełku, że ludzie od rozumu odchodzić będą. Już sie to po części sprawdza, choćby i w Przysłopiu. Powstaną — mówi — jakiesi potwory z pomiędzy ludzi, co będą ino czyhać na zgubę innych, aby siebie wywyższyć do chwały. La takich ni ma ani praw, ani Boga, ani poszanowania siwej głowy. Udają oni mądrość, ale ta mądrość od czarta pochodzi. Bo to są slugi Jantychrysta! Oni mu panowanie gotują na ziemi... I dużo jeszcze jest w tych prorocत्वach godnego, ale się to nie spamięta wszystkiego, bo pamięć jak i na starość, maleje. Trzaby to głowy!

GNIECKI

(schlebiając)

Dyc nie trza lepszej nad waszą.

MICHALCZEWSKI

Zmieści ono sie w niej niemało.

SUHAJ

Ho! mościewy! — był czas, że mi nie trza było niczego dwa razy powtarzać, a siedziało tak, jakby na skóbel zamknął. Ale to już temu kilka roków! Dziś człek rozkolatany, jak stara sieczkarnia: kręć nią, jak chcesz — nie urznie, bo już ni ma rzazu. Ale... na czym ja to stanął? Aha, na tych prorocत्वach... To jest słuszne. Czy sie nie tak dzieje?

WSZYSCY

O jej! —

SUHAJ

Zewsząd sie już na ten biedny naród zwierają. A i diabli nie zasypiają gruszek w popiele. O nie! Oni ta mają swoich uslužników, co im szepcą do ucha dzień i noc bez przerwy... Oni ta mają!...

SZYMEK

Nic ino trza tak zrobić, jakom ja powiedział. Abo niech ociec Suhaj dobiera do siebie kogo chce, abo my...

PARU

Nie, niech ociec Suhaj dobiera!

DOMAGAŁA

My nie upatrzymy tak... Trza to mieć rozum i na różne sprawy. A wójt przecie są już obeznani z tym...

SOLTYS

Hej, bo mieli czas wszystkiemu sie napatrzeć.

SZYMEK

Niech tacy idą — co ta już bywali nieraz, co im to nie cudne, co sie umieją naleźć i na radzie i na zwadzie, i za stołem i pod stołem... wszędy! bez wyjątku!

CICHAŃSKI

To jest słusznie i sprawiedliwie powiedziane.

SZYMEK

Co myślicie! Tam przecie są i księża i wieldzy panowie i sam starosta nawet siedzi. Nie każdemu to jest dano umieć sie naleźć.

BRAT SUHAJA

A i wstydu nie przynieść swojej gminie.

CICHAŃSKI

To jest rzecz honorna!

MICHALCZEWSKI

Ba! to jest honor!

SUHAI

Ustanówmy se...

(przerwał — szmer poszedł po izbie — popatrzyli wszyscy ku drzwiom)

Kto idzie?

PARU

(cichcem)

Rakoczy!

RAKOCZY

(bliżej stołu)

Niech będzie pochwalony!

WSZYSCY

Nie wieki wieków...

RAKOCZY

(wartko skłonił się gazdom kapeluszem wkoło)

Witajcie wszyscy.

(Skinęli głowami w powitaniu. Suhaj tylko nie zauważył powitania i zdawał się czegoś pilnie wypatrywać za oknem)

RAKOCZY

Tu widzę jakąś wielką radę. Sami ojcowie zacnych rodów. Może jakie rodowe sprawy macie na uwadze, o których nie trza wiedzieć każdemu... Co? To się usunę.

CICHAŃSKI

Eh nie — To ino wybory.

RAKOCZY

A, to dobrze. W sam raz się zdarzyło. Bo ja właśnie myślałem o tem. Trzeba się naradzić. Ale cóż was tak mało? Któż was to zwoływał?

GNIECKI

(cicho)

Ta ociec Suhaj.

RAKOCZY

Hm... przecie to nie ino wam leży na sercu...

SUHAI

(ostro)

Rakoczy! —

(zreflektował się — znów w okno patrzy)

Bywają takie sprawy, choć i nie rodowe, o których nie każdy musi wiedzieć...

RAKOCZY

(przerывая)

Wójcie! — ja was nie rozumiem.

SUHAJ

Nie dziwota. Jeszcze niemało wody w rozłokach upłynie...

RAKOCZY

Czy wy myślicie, że do spraw kraju mają ino prawo rody mieszać się, nikt więcej?

(spojrzał wokół, ale gazdowie milczą zawzięcie)

To wy się chwalicie rozumem, a nie wiecie do znaku, jakie czyje prawo?

DOMAGAŁA

(z uśmiechem)

Patrz swojego, mojeśty, o inne się nie trap.

RAKOCZY

(głośno w rozdrażnieniu)

Śluchajcie! Ja się do waszych spraw nie mieszam. Prowadzicie gazdowanie do stu diabłów...

SUHAJ

(powstał — gwałtownie)

Co?!

RAKOCZY

To, że lud się skarży. Las wyniszczony, drogi zaniedbane.

SUHAJ

A kto temu winien?!

RAKOCZY

Nie twierdzą, żebyście to złą wolą czynili. Nieumiejętność wasza więcej złego robi...

SUHAJ

To nas naucz, mądrauszu!

RAKOCZY

Ba, kiedy wy ino z rad się wyśmiewacie, i zawdy trzymacie się swoich starych praktyk.

SUHAJ

Śluchajcie, co on jeszcze nowego nie powie!

RAKOCZY

O, powiem wam: przyjdzie czas, kiedy musicie zdać rachunek...

SUHAJ

Przed tobą?!

RAKOCZY

I przede mną i przed stu inszymi!...

(gwałtem gniew zahamował — ciągnie dalej ciszej i spokojniej)

Teraz proszę pięknie, powiedzcie mi, coście tu wspólnie uradzili. Bo jak o wybory idzie...

SUHAJ

(dygocąc z wściekłości, ale spokojnie)

Śluchaj, Rakoczy. Nie napadaj ty na nas wywodami swoimi, ale siedź w chałupie, kiedy ci dobrze i czytaj se tam

te wszeleńskie pisma. A jak rozumu lepszego nabędziesz, to nam powiedz.

(wstał, wyprostował się na całą wysokość)

RAKOCZY

Jak o wybory idzie, to wam powiem. Przeszły te czasy, kiedyście tam chodzili po to, żeby kiwać głowami na wszystko. Dziś już naród zdjął kurzą ślepotę z oczu swoich i przejrzał i zrozumiał nareszcie, że o prawa swoje sam się dopominać musi. Obiecankom ni ma co dowierzać, bo panowie miłi są i ładni i gadać potrafią tak pięknie, że się serce kraje, ale oni mają swoje interesa, nie nasze. Ich cel, a nasz — to jako dwa końce na jednej miedzy. Oba się rozlatują w przeciwnie strony — i jakże się mają zejść razem? Powiedzcie! ... Oni idą kierdelami — a my, jak owce zbłąkane, rozsypane po uboczu daleko ... Deszcze nas biją, wiatry ziebią, a my ino wciąż beczymy żałośnie. Gromadami nam iść na hale, na te polany wolnościowe! Czyby potok doleciał do morza, jakby ino kroplami spływał? Powiedzcie! Wsiąkną i zginą i śladu nie będzie.

Nie bądźmyż głupiomyślni ani samojedni. Sił mamy dość, za wiele, ino woli braknie. Ja się nie dziwię, że bojaźliwi jesteście, bo starzy. Tu i młodzi staną za waszym powodem, a jak nie, to ich naprzód przepuście, niech idą. A kto za gminę staje, niechaj baczy, że odpowiedzialność gromadzka na nim ciąży. Tu zwołać trzeba wszystkich. I młodych i starych i rodowych i nierodowych, bo to wszystko jedno! Każdy rodzony przecie i umierać musi.

(siadł — dłonią przesunął po czole — włosy zeń odgarnął, — gazdowie milczą, jakby słuchali jeszcze)

SUHAJ

(kpiąco)

Słyszeliście? Jak on to ładnie umie opowiadać.

RAKOCZY

(zerwał się jak oparzony)

Wójcie! tu z kpinami wara! Bo tu idzie o ludzką biedę, nie o mnie! Na to nie patrzcie, jak ja opowiadam, lecz co opowiadam, weźcie pod uwagę. Ja się nie uczył słów na pamięć, żeby je umieć płynnie gadać, alech się patrzył na tę biedę, na ten nieszczęsny kraj — stąd moja mowa płynie wartko, jak te potoki ludzkich łez ...

(znów przysiadł, reflektując się)

SZYMEK

Słyszane to rzeczy, słyszane to rzeczy, żeby się tacy ludzie najdowali po świecie, skoro człowiek ...

SUHAJ

(przerwywając)

Widzicie! Patrzcie! Przyszedł nas rozumu uczyć i Bóg wie, co nie będzie nam tu opowiadał. A tobie skąd zachciało się ludzkimi rzeczami zajmować — hę? Kto cię do tego upoważnił — pies? My się bez takich doradców pięknie ładnie obejdziemy. Jeszcze ta, chwała Bogu, dość ludzi mądrych na tej ziemi. Dadzą se radę.

SZYMEK

Coby se nie mieli dać?

SUHAJ

(mruklwie)

Widzicie jaki gotowiusieńki! Rządów mu się zachciało. A tu człek już lbem kręci od trzydziestu lat — i przyjdzie ci psiapara z wymówkami przed oczy...

(głośniej)

Niech jajo kury nie przemądrza! — — Tak, tak, niech jajo kury nie przemądrza! !

RAKOCZY

(przybladł, z ławy się porwał)

I niech plot se nie myśli, że jest drzewem, jak insze stojące, chociaż...

SUHAJ

(pięścią w stół walnął)

Słyszeliście? Już nas do plotów przyrównuje... A tyś co za jeden?

RAKOCZY

Rakoczy!

SUHAJ

Cygańskie nasienie... Znamy was, Rakoczowie, odmieńce diabelni. Już ociec, już i dziadek twój lb tak wysoko dźwigał. Wojowalibyście z wiatrem, jak nie macie z kim. Tak wam duszno wśród ludzi, jak pstrągom zamulonym w piasku...

RAKOCZY

To jest prawda, bo duszno psiakrew jak pod ziemią!

SUHAJ

To idź! Leć na koniec świata! Kto ci broni? Powietrza jest wszędy pełno i tu go nie brak...

RAKOCZY

Ale to powietrze zatrute! Zatrute, powiadam.

SUHAJ

Kto je zatrul?

RAKOCZY

Ci, co nim letko oddychają... co ich nie dławi...

(Stoją obaj naprzeciw siebie przedzieleni tylko stołem — gazdowie fajki pykają — milczą, słuchają — jedni wyrażnie — patrzący na tych dwu, drudzy niby-niby nie wiedzący, co się tu dzieje. Franek Rakoczy w zapamiętaniu aż na środek izby skoczył — przeszkadza mu stół martwy przed nim stojący)

SUHAJ

Każ się, człeku, pokropić święconą wodą...

RAKOCZY

A wy się dajcie za życia kanonizować, będzie wam dobrze.

SUHAJ

Franek, czy ty nie zaprzestaniesz tych dowodzeń?

RAKOCZY

Nie, dopóki mi sił staniel

SUHAJ

Przewódź, przewódź! pnij się do góry, ale wiedz, że ten, co najwyżej wylazł...

RAKOCZY

Wiem, to na łeb zleci. Ale to musi być stary, że się nie zdole utrzymać.

SUHAJ

On zawdy swoje musi mieć na wierzchu! Ty tak, on tak, a nie opuści, nie, bo on mądrzejszy nad inszych, choćby to był nie wiem kto...

RAKOCZY

Choćby i sam naczelnik Przysłopia...

SUHAJ

(trzęsąc się cały)

Żebyś se wiedział! — że ja nie z takimi gazdami nie raz... I nie tacy mnie słuchali.

RAKOCZY

(śmiejąc się)

Wierzę! wierzę! I cesarz z lokajami na migi nie gada, ba...

SUHAJ

(wściekły — w złości zapamiętały)

Rakoczy! dużo jeszcze powiesz?

SZYMEK

(z groźbą w głosie)

Ino ty się miarkuj, Franuś!

RAKOCZY

Myślicie, że się was boję, choć-ech jeden? Ale ja tu nie przyszedł z wami bitki stroić... Zwołacie tu całą gminę, wszystkich, albo nie? Odpowiadajcie prosto...

SUHAJ

(aż się zachwiał w nieprzytomnym gniewie)

Kto nam każe? Ty? Ty nam będziesz przepisywał, co mamy robić? To już ni ma ojców ani władzy, ani starszych ludzi! Inoś ty jest jeden mądry, ty...

(Nie może już skończyć — zadyszał się, zasapał, ledwie dycha... Gazdowie poruszyli się. Powstawali z ław. Sze-mrzą. Zagrała w nich krew. Franek stoi między nimi na środku izby — sam ze swoją sprawą. Paznokcie wbil w dłonie — pięści zacisnął, chce być spokojny)

RAKOCZY

Rozumu wam nie przeczę. Macie go aże nadto na tu-tejszą biedę. Ino ten rozum chodzi po jałowcach. Ino ten rozum chodzi po jałowcach, ten rozum, wiecie, głupi jest sam w sobie.

GAZDOWIE

(między sobą)

Co on gada,

RAKOCZY

Wy ino macie przed oczyma siebie! —

(głośniej)

Tak, abo swój ród! Niech reszta skapie marnie, co was to obchodzi! A wy nie wiecie, że wspólne dobro — jest dobrem każdego, że wspólne prawo — daje więcej praw! Wyście w harendę wzięli sprawy gminne i... tak z dnia na dzień... z roku na rok... że... diabli człowieka biorą!

(odwrócił się do okna — mruknął)

SUHAJ

Gadaj se z wiatrem!

(uspokoilo się powoli — gazdowie posiadali)

RAKOCZY

Szkoda i słów, bo widzę, że to wszystko na nic. Ale wiedzcie se o tem, że ja nie dam za wygraną. I o tem wiedzcie, ojczaszkowie mili, że sie już zbliża koniec waszej gospodarki. Czas nie śpi, a i ludzie rodzą się inaksi.

SUHAJ

(już spokojny, pewny siebie — nic mu już ta ten młokos nie robi... zasiada na ławie godnie...)

Może tacy, jak i ty!

RAKOCZY

Poznacie wy ich, sami. Ale wtedy... biada wam! Lepiej zawczasu zróbcie porachunek ze sumieniem i zawróćcie, póki czas, pokiela inisi nie przyjdą. Bo poderwą z nagła stolki, ani sie spodziejecie. Tak, tak...

(zwrócił się nagle ku drzwiom, wielkimi krokami ku nim poszedł — od progu jeszcze dodał)

To wam prawi Rakoczy. Zapamiętajcie se dobrze...

(Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami — nic tu po nim!)

SZYMEK

(półgłosem)

Czego ten człowiek chce? Ja bo nic, a nic nie rozumiem.

SUHAJ

(powstając)

Słyszeliście! Grozi, że więcej za nim idzie... Nie mówilech wam? Tu czas już nadchodzi i baczność trzeba dawać na wszystko dokola. Bo diabeł nie śpi, ale swoje robi. Nie po próżnicy wysła takich Rakocznych na ten mizerny świat... O mocny Boże! Dej oświecenie jakie tym ludziom, bo do znaku są głupi... bo do znaku są głupi...

GAZDOWIE

(półgłosem)

Dyć nie jak, moiściewy, dyć niejako...

(zadumali się każdy nad swoim)

DOMAGAŁA

Co to nie nastaje nowego, jacy ludzie...

(znów zamilkli — znów dumają — fajki pykając)

SZYMEK

Ano — — — radźmy dalej...

WSZYSCY

(raźniej)

Radźmy!

Koniecznien odegrajcie tę „Radę”. Nie tak to nawet trudno, tylko trzeba się dobrze wmyśleć w samo poczucie i godną, pewną siebie postawę owych gazdów kilkunastu. Namysł, chytre, a władcze i przemyślnie słowa Suhaja przeciwstawcie wartkiej i gorącej duszy Franka. Bezsilę jego czucia ich głuchej na wszystko sobiepańskości. Jego ucieczkę pełną rozpacz i mimo wszystko — mocy, ich łatwemu nawrotowi do utartego trybu myślenia. Radźmy — powiedzieli... Radźcie i wy, jak oddać nastrój dramatycznego owego starcia między młodym i starymi. A potem rozważcie tę sprawę wszechstronnie, poszukajcie może jej odpowiednika w życiu dokoła nas i osądźcie, kto miał rację, gdzie słuszność i jakie dać rozwiązanie takim konfliktom. Bo przecie bardzo dużo ich w życiu...

R Ó Ź A

Urywek z dramatu Stefana Żeromskiego

OBRAZ I.

Urywek ten wykonamy na scenie. W pierwszej odsłonie dekoracje damy takie: tylna ściana — zarys szubienicy, wysoki, jak się da największy, może być wyrysowany węglem na papierze, czy samej ścianie. Pod szubienicą proste, równe groby. I szubienica i groby pod śniegiem. Tony szaro-czarno-białe, trochę może ciemnej niebieskości. Ściany boczne — zasłony ciemne.

BOŻYSZCZE, uosobienie sumienia narodowego, niezniszczalnej siły ducha polskiego, wieczny głos duszy polskiej, krzyczący głośnie swoje nieustępliwe: waruj! nie daj się! zęby ściskaj, konaj, ale trwaj, ubierzemy i w tej odsłonie w zbroję króla Warneńczyka według opisu Żeromskiego w drugiej odsłonie. Ażeby róża, którą Bożyszcze rzuca, nie padła na ziemię, wysuniemy jeden grób z tła tylnego ku przodowi. Zrobimy go naprawdę graniasty, przysypany jakąś białą pagórek. Na ten to śmiertelny pagórek padnie pod koniec w darze zamkniętemu w nim bohaterowi — czerwona róża.

ANZELM — to, jak z tekstu się już domyślamy, dawny rewolucjonista, potem zdradził. Szpieg. Został przez tych, których zdradził, jako prowokator zabity. Mówi do nas jego cień. Dlatego odpowiednią mu damy charakteryzację. Ubierzemy go jak robotnika, bo tak, gdy żył, chodził.

Całość musi być zrobiona mocno, wypracowana w każdym szczególe głęboko, z rozważą. Gdy nie przejdziemy się, nie zrozumiemy do głębi tego, co mówią ci przed nami między sobą, lepiej nie grajmy. Pamiętajmy, że słowa te pisał człowiek, który bardzo głęboko słowo i serce polskie ukochał i bardzo za to Polski serce cierpiał, bo głęboko jego niedolę czuł.

„Róża” odnosi się do czasów po rewolucji 1905 roku. Ginęli wtedy na szubienicy robotnicy, ginęli i chłopci. Dwie sprawy były dla nich wówczas święte. Wyzwolenie człowieka i wyzwolenie Polski. Wierzyli, że wyzwolona Polska wyzwoli z krzywdy i niesprawiedliwego ucisku człowieka. Dlatego pod strykiem szubienicy krzyczeli: niech żyje Polska niepodległa! Przeczytajcie sobie o tych czasach. Wsłuchajcie się w rytm bębnow, bijących ostatni werbel skazańcom. O nich to, o Montwille, osiemnastoletnim robotniku Okrzei mówi Bożyszczce w końcowej części urywka. Dużo ich legło na ulicach Warszawy, Łodzi, dużo zawisło na stryku. O nich pamiętajmy, gdy będziemy grać te obrazy.

Dla podkreślenia nastroju możemy od chwili, gdy Bożyszczce zostanie samo, nucić pieśń zciszonymi głosami. Którą? może „Jeszcze Polska nie zginęła”? Może, gdy pieśń się odbija cichutką melodią od szubienicznego słupa i słów Bożyszczki obok tego słupa, na tle grobów będą się przesuwają cicho, bezszelestnie cienie tych, co tu polegli? Ubrani w więzienne kitle, szarzy, bezbarwni, będą szli i szli, nieustająca męczeńska procesja bohaterów. Zastanówcie się, pomyślcie i zróbcie nie jak obchód, ani przedstawienie, ale jak żywe, tętniące ciepłą krwią odczucie życia i myśli tych, którzy nam dzisiaj wolny, wiele obiecujący i dający otwarte pole do pracy dzień zgotowali.

ANZELM

Oto tu leży ten pierwszy mój...

BOŻYSZCZE

Cicho szepcuj — szpiegu — bo polski wiatr usłyszysz imiona tu pokonanych. Poniesie je w pola, w lasy, na martwe

niwy, ku ludnym wsiom. Wyszłocha je u zamarzłych okienek, wypłacz w węglach chałup. Poszepnie je milionom chłopów w ich nieocknionym dziś śnie.

ANZELM

Śpi twarde chłopstwo polskie. Dobrze jego snu bagnet strzeże i zabobon. Bagnet na ziemi o wszystkim stanowi. Na kolanach u moich stóp z płaczem i jękiem pełza wiatr, niewolnik, jako wszystko w tym kraju.

BOŻYSZCZE

Miejsce, na którym stoisz, jest zagonem ziemi wolnej.

ANZELM

Czyli to miejsce — mistrzu — jest zagonem ziemi wolnej, gdzie leżą pochowani bandyci, zdjęci z szubienicy?

BOŻYSZCZE

Tu leżą pochowani waleczni wodzowie powstania, waleczni bojownicy rewolucji.

ANZELM

(posępnie zadumany)

Tu oto leży „Marek”. Uciekł był ze mną z więzienia z zamku w Łęczycy. Thukło mi się wówczas w piersiach inne, głupie serce. Kochałem go. Skoczył w moje ramiona z wysokiego muru. Uciekaliśmy przez błota, rozkisie łaki, przez głuche lasy. Tylko ta jedna noc wie, ile było między nami niezłomnego pobratymstwa. W piersiach mu grały

suchoty, a śmiechem się wtedy radosnym zanosił. Niosłem go, gdy mi padał, nie czując ciężaru, jak matka nosi dziecko. W zamian, kiedym ja w walce z wojskiem, na rogu wielkowiejskiej ulicy postrzał otrzymał w ramię, on mnie, „Marek“, towarzysza, wywłókł za ulkami, — z pomiędzy patrolów, wydźwigał na ramieniu, schował w izbie swojej. Dzieci troje i żonę wysłał spać do ciasnej sieni, w łóżku mnie swoim położył i leczył sam, żeby nie wzywać lekarza. Ukrył mnie, ocalił wtedy, wywioził chorego w daleką stronę.

Śmieszna polska nędzo!

Wydałem żandarmom owo tegie braterstwo między nami dwoma. I wszystek nasz sekretny zamach, któryśmy razem czynili. I każdą myśl, zaprzysiężoną słowem męskim, naszym, honornym, głuchą tajemnicę, powziętą pospołu, gdyśmy nocami obaj w gorączce szeptali.

Śmieszna polska nędzo!

(mówi wyraźnie, schylając się nad uchem słuchacza jak w czasie spowiedzi).

Oto tu leży „Rudolf“. To my zabiliśmy z nim generała żandarmów. Zdobyliśmy razem pocztę z wielkimi pieniędzmi. Wystrzelaliśmy konwój do nogi. W ucieczce jednego dnia leżeliśmy w zbożu dostaliśmy, kiedy pościgi wojenne przerywały wzdłuż i wszerz okolicę. On, strudzony, spał kamiennym snem. Jam czuwał. Słyszałem głosy kawalerzystów, rozróżniałem szczęk broni i tętent o kilkadziesiąt kroków od miejsca naszej kryjówki. Nie budziłem go, żeby spokojnie wypoczął. A gdy się ocknął — pamiętam — twarz miał jakby cudzą, maskę jakąś okrutną z gipsu, oczy w niej — płomienie jarzące. Skarżyć się począł na los nasz straszliwy, który nam rozkazał być mordercami z za-

sadzki dla tej, — mówił — dalekiej — dla tej, — mówił — nie naszej, dla tej potomnej, niepodległej Polski.

Śmieszna polska nędzo!

Wydałem wszystko, wydałem i tamtą chwilę do cna.

Oto tu leży „Grzegorza“ chłopski trup. Głęboko leży w zmarzniętej glinie. Torturami podarli mu ciało, gumowymi kijami odbili je od kości, pozrywali spoidła żeber, jako, że się był zaparł do ostatniej kropli krwi i do ostatniego tchu. Nikt o nim nie wiedział nic, tylko ja jeden. A ja wiedziałem wszystko. Jam wiedział, jak go umieli zużyć ludzie, gdzie pchnęli jego ciemną wolę. Wyszedł z chałupy w ciemną noc, żeby się bić na śmierć o Polskę, a zawisł tu pod nazwiskiem bandyty. Wydałem wszystkie jego straszliwe uczynki, całe dzieje wielkiego męstwa, z ciemnej niewiedzy wypływające.

Przekreślił się teraz w ziemi, obrócił ku mnie zgniłą twarzą. Krople krwi jeszcze mu się toczą ze ślepiów po milczących, nagich kościach. Patrzy się oczodolami w moje oczy i pyta się mnie, co ludzie z jego duszą i z jego spracowaną ręką zrobili. Pyta się mnie, com ja z nim zrobił.

(nachyla się nisko, osłania usta dłonią, szepcąc)

Mistrzu! Pokażę ci, com sprawił najokropniejszego. Odgarzę ziemię, rozgarzę piersi tego chłopca, nieustraszonego za życia. Pokażę ci jeszcze drgającą w nich ciemną nieśmiertelną rozpacz...

BOŻYSZCZE

(dobywa pugi nałtu i krótkim błyskiem żelaza odpycha od siebie Anzelma)

O sobie samym mów do mnie.

ANZELM

Prawdę powiem. Powiem ci, gdy taka jest twoja wola, kiedym po raz pierwszy uczul w sobie tę nową myśl. — — — Wiosenny to był ranek. Chmura ciemna leżała na niebie. Za nią dołem — dołem zorza. Już mię wtedy skazali byli na powrót. Poprzez dwie druciane kraty pozwolili mi ostatni raz spojrzeć na mojego jedynego syna, dziesięcioletniego Olesia. Wyciągnął do mnie drobne ręce, ale mi ich dotknąć nie dali. Patrzył we mnie poprzez oka drucianych krat nieopisanymi oczami dziecięcej boleści. Nad odrażającą mękę, nad brudny bezwład więzienia, nad strach i podłość wyczekiwania wyblęśla żywa żądza, ażeby naraz tego wszystkiego nie doświadczać. Zjawila się myśl, że można przecie uciszyć się i uspokoić widokiem cudzego cierpienia, gdy ja będę zdala spokojnie, uważnie patrzył. — Zobaczyć Olesia! Wziąć go na kolana, przytulić jego głowę do serca spracowanego tak bez miary... Począłem mieć genialny plan. Spostrzegłem nowe życie i rozkochałem się w nowym dziele.

BOŻYSZCZE

Dowlókłeś się do drzwi, na których ręka nieżyjącego już więźnia kredą wypisała: Tędy się idzie do wielkości ludzi podłych.

ANZELM

Czekali ludzie na moją podłość. Czyhali na nią pod meimi drzwiami. Nikt mię nie wsparł, nikt nie zaprzeczył. Byłem sam.

A doświadczeni kupcy ludzkiej podłości stali dookoła. Wszakże wszystko można kupić za złoto. Jakże mu się

miała oprzeć moja dusza? Pokazali mi kupcy wolność, pokazali synka małego, pokazali mi możność srogiego czynu. Widziałem ich zimne oczy i żelazne ręce. Jedna ręka podawała mi — powrót, a druga ręka podawała mi — trzos, nabity złotem. Wybrałem.

BOŻYSZCZE

A ja, którym jest zawsze czujny, słyszałem, zdążając w te miejsca, legendę o młodzieńcu. Imię jego było Paweł. Podano mu tak samo, jak tobie, powrót i — trzos. On wybrał powrót.

ANZELM

(schyla się nisko i szepce)

Ten chłopiec miał osiemnaście lat. Nie miał syna.

BOŻYSZCZE

Powiedz mi prawdę o synu. Spójrz w mrok. Spójrz przez odległość dziesięciu lat i patrz w oczy swego syna.

ANZELM

Zniosę jego wzrok! Zniosę jego wzrok! Zniosę jego wzrok! Zatopią się jego oczy w moje oczy i wyczytają najstraszniejszą z ofiar nędzy.

BOŻYSZCZE

Ludzisz się. Wszelką prawdę może człowiek zdradzić na ziemi. Może zdrajca wyprowadzić w pole najwybitniejszy rozum, najświętszą niewinność jadłem swoim zatruć, łatwo mu zniweczyć tropy swego kłamstwa, odziać się kapą świętości i w spokoju pożywać owoce kupione za judaszowe

srebrniki. Wszystko bowiem człowiek na ziemi oszukać może, lecz dziecka swego nie oszuka. Przyjdzie dziecko — za moim poduszczeniem — o niewiadomej godzinie i straszliwymi oczyma zajrzy w mrok tajemnicy. Stanie jak nieublagany prokurator, jak niepodkupny sędzia. Spojrzy. Pchnie cię oczami, szpiegu, z taką samą co do joty siłą, jaka się mieściła w twej „potędze“, kiedyś niewinnego na szafot posyłał.

ANZELM

Oleś ! Oleś ! Oleś !

(skulony od nadmiaru boleści, skurczony, chyłkiem wybiega)

BOŻYSZCZE

*(po wyjściu Anzelma w zadumie trwa patrząc za nim)
(zbliża się do słupa szubienicy, opiera się nań piersiami,
czoło opiera na drewnie śmierci)*

Wszystko się zmieni. Po latach oczy młodości gorące będą na wspomnienie niezłomnego milczenia Montwiłła, na wspomnienie jego odpowiedzi na badania sędziów polowych: — „Nie życzę sobie wam odpowiadać“, — na wspomnienie jego okrzyków pod szubienicą do ostatniego tchu: „Niech żyje Polska niepodległa!“ Nadejdzie dzień, gdy skruszy się i ocknie niewdzięczne i okrutne serce w polskim plemienu. Wspomni ono imiona więźniów samotnych, co w czarnej nocy ducha wskrzesili męstwo w milionach niewolników i za niepodległość kraju walecznie, dostojnie, wspaniale ponieśli śmierć. Przyjdzie tu lud niepodległy i odgarnie tę ziemię mogilną. Resztkę urwanego postronka, ocalałą na gardzielach, które w minucie szubienicy wołały o niepodległość duchów i ciał, poniosą we czci przed wiel-

kim tłumem. Złożą je w świątyni ludu. Uczynią zeń znak najwyższego dostojęstwa, relikwię, herb. Na zaklętych grobach powstańczych i bojowniczych zasadzą różę czarującą — różę świętą, której kwiat urząd najwyższy ludu nadawać będzie, jako znak sławy, nagrodę za bohaterstwo, cnotę i geniusz. Wyznaczą dzień na pograniczu wiosny i lata, kiedy różę wypiją sok z prochów Toczyskiego, z serca Okrzei i kiedy wydadzą urok ich dusz nieśmiertelnie pięknych. W ów dzień iść tu będą z wielkiego miasta i z dalekich wsi pochodami długimi dzieci ze szkół, śpiewając hymny wolności. Niezgasła, wyzwolenicza pieśń, która sto lat kajdany dźwigała, unosić się będzie jak biały ptak nad ogrojem różanym.

*(Rękę wyciągnął nad białymi grobami za szubienicą.
W ręce tej wykwitła płomienna, czerwona róża. Światło na nią pada. Lśni w tym świetle na tle białej cichości grobów jak plama krwi purpurowej.)*

ODSŁONA II

Cela więzienna. Tapczan pod jedną ścianą. Stolek. Wia dro w kącie. Nic więcej nie ma. Szare ściany zawilgocone. Małe zakratowane okno w tylnej ścianie.

CZAROWIC, więzień od 1½ roku tu siedzący, po celi błądzi tam i z powrotem. Kajdany ma na nogach. Strój więzienny. Dobrze się wczytajcie w jego słowa. Był organizatorem ruchu rewolucyjnego. Był jednym z tych, którzy nie kończyli tylko na rozlewie krwi swojej i cudzej, ale chcieli także budować jutro Polski. Tworzył spółdzielnie, budować chciał szkoły. W męce najostatniejszej wspomina to wszystko skazany na bezczynność, najgorszą z tortur więzienia. Wczytajcie się w każde słowo jego dręczącej spowiedzi przed głuchą kratą.

ANZELM, ten sam, który był w pierwszej odsłonie. Szpieg. Przyszedł tutaj jako ojciec, po łaskę i opiekę dla synka, Olesia. To jest jego najważniejsza tutaj sprawa. Dlatego tak mocno trzeba ją zagrać, ażeby to dziecko jak żywe stanęło przed nami.

Czarowic jednak w tym obrazie uosabia sobą tylko sprawę zagubionej Polski. Potem, gdy wyjdzie z więzienia, wspomni Olesia, zaopiekuje się nim. Dziś szpieg odchodzi z rozpaczą w sercu — sam, bez nadziei. Końcowa scena nie jest łatwa. W bocznej ścianie musimy mieć parę cegieł luźnych, dla wywalenia otworu, tylną kulisę wolną, kraty tak umocowane (drewniane), ażeby uderzone mieczem zwisły. Wszystko dokładnie przemyśleć.

DAN, schodzący za Czarowicem i Bożyszczem w dół — w Polskę, łatwej roli nie ma. Jest on uosobieniem geniuszu, tak bardzo Polsce potrzebnego. Młot rzucony mu przez Bożyszczę w ręce dzierży. Słowo „Polska”, przezeń szepcane, urastać ma do wymiarów świętości i mocy świętej, najświętszej.

CZAROWIC

*(błądzi po celi, z kąta w kąt, usiłując tłumić pobrzęk kajdano-
wów; — staje przy oknie i długo patrzy w nocne niebo przez
górne szyby; — czepia się rękami krat; — opiera głowę na
kracie okiennej; — długo rozmyśla...)*

Dusza moja podobna się stała do tych, które teraz oglądam, nie widząc oczyma, źle uprawnych pól, porzniętych w tysiączne działki — do wiosek, zastawionych brudnymi chałupami. Jestem w niewoli jak ziemia. Ze mną są te chałupy i ludzie niemocni, przykuci do straszliwej nędzy przewracania nieczulego gruntu, wzruszania go modlitwą i postem, żeby przyczynił chleba. Ze mnie jest pycha pałaców, pełnych nudnego przepychu, gruboskórnego sobkostwa, zdzierstwa, patriarchalnego przesądu i kruchcianej obludy.

Ja to jestem — tamte, polskie, wyboiste drogi, wiodące do miejsc — wieczyście smutnych. Nienawiść i gniew jest

we mnie, jak jest zlogami wiecznymi leżący gniew w duszy ciemnego chłopstwa przeciwko krzywdzie prastarej. Przeżyję moje życie tak samo, jak je przeżywa martwa niewolnica, polska ziemia. Nic na lepsze! żadnej odmiany! Nic z tego mocarstwa, które jest w niej i we mnie, nic z rozrostu, czyhającego na swą wiosnę... Polska, zastój, nędza i ja — to jedno.

Role moje nieszczęsne, — czyliż was nie przekopię rowami, nie zorzę, nie zabronuję, nie zasieję ja, wasz oracz, który zaprzysiągłem sobie wszystko wykonać? Wsie moje żałośnice, którem przysiągł popalić z robactwem, z chorobami, z głupotą i przesądem! Ściany bielone, dachy słomiane, co je deszcz zżera, a wicher szarpie, strzechy przegniłe, głodnemu bydłu na wiosnę za karmę służące! Jakże zdołam zabudować szerokie rozłogi szczęśliwym, widnym, pięknym domostwem, ludzi wolnych godnym? Jakże to mam sprawić, żeby znikł z ziemi chłop gnuśny z niedoli, czarny od brudu, ciemny, półpijany zawsze, nieszczęsny mój brat, mój ojciec, rana mojej duszy, — i żeby znikł zbogacony pan, pyszny z oplakanej doskonałości swego położenia, niewolnik dobrowolny. Jak skruszyć zdołam i zdjąć z dusz pieczęć państwa i pieczęć chłopstwa?

Matko moja, ziemio polska!

(szarpie z wściekłością kraty okienne)

— Puśćcie mnie, kraty! Puśćcie mnie! Puśćcie mnie, kraty! Mam do wykonania niezmierny ogrom prac. Czas mi ucieka. Tygodnie, miesiące, lata mi lecą. Mam od krańca do krańca naród polski przeorać. Mam do postawienia tysięcy szkół, mam do wyćwiczenia tysięcy nauczycieli. Stoją niedomurowane ściany moich szkół, gdym odszedł. Dachy mi zaciekają. Walą się mokre sufity. Złasowało się na

deszczu porzucone wapno. Złodziej rozkrada cegłę. Gniją mi belki i tarcice. Pije w monopolu cięśla zawiedziony, wałęsa się zgłodniały mularz, — a Moskal dziecińy płaczące rozgania.

Półtora roku tu siedzę. Schną z bezczynności moje ręce. Rwą się do roboty ramiona. Wysycham z tęsknoty do twórczego trudu. Szarpie się coraz silniej serce. Mam sypać drogi poprzez piachy mazowieckie, mam rżnąć rowy przez błota podlaskie. Tysiąc założyłem towarzystw. Tysiąc sklepów w ruch puściłem. Rozkradną własny towar ciemnoszatni współwłaściciele. Rozejdą się zawiedzeni spółnicy. Płaczą się między martwymi ścianami kolana moje. Pęka mi głowa od nawalu podjętych zadań. Milion myśli ogniem w niej płonie. Stoi ziemia moja jak wdowa, czekając, kiedy dam hasło, że idę. A ręce, lecąc do dzieła, trafiają w mur, głowa uderza o kratę. Puście mnie kraty!

(Słychać stukanie w lewą ścianę z celi sąsiedniej, gdzie zamknięty jest więzień, nazwiskiem Dan. Czarowic nachyla się, przykłada ucho do ściany i mówi na głos zdanie odczytane)

Znalazłem dziś w nocy tajemnicę ognia. Daj mi możność ucieczki. Muszę do laboratorium!

(śmieje się gorzko, stukając w ścianę odpowiedź)

Stań się prowokatorem.

(wraca do swego okna)

Mam zbudować niepodległość wewnętrzną narodu. Mam hasło niepodległości wpracować w trudy polskie, zakłąć we wszystkie wysiłki, mam ją wszeptać w sztukę nowoczesną.

Mam to krótkie, proste, jedyne prawo oddać ludowi. Będę jak pies szczekał to hasło po nocy dookoła siedlisk ojczyzny, żeby go nie przespała w swym gnuśnym śnie.

(słychać ponowne stukanie Dana; Czarowic przykłada do ściany ucho i czyta:)

Znalazłem napewno tajemnicę ognia. Muszę do laboratorium. Staraj się! Mój wynalazek...

(Czarowic śmiejąc się, stuką w ścianę)

Sprzedaj co prędzej twój wynalazek szatanowi. Może on cię za pomocą swych wpływów wydobędzie...

(słychać ponowne stukanie Dana; Czarowic czyta:)

Znalazłem tajemnicę ognia. Będę mógł z wielkiej odległości zapalać proch i dynamit. Będę wysadzał z oddali fortece, palił armie.

(Czarowic odbiega od ściany, staje przy oknie, z jękiem:)

Puście mnie kraty! Puście mnie! Puście mnie kraty! Gdybym wyszedł na tę płaską ziemię, zanurzyłbym w nią dłonie, urobiłbym sobie ręce po łokcie. Ujrzanoby naród nowy, spojony, nierozzerwalny, olbrzymi. Ujrzanoby rasę zapomnianą, pełną prastarej wspaniałości i nowoczesnego geniuszu. Szedłbym przez tę ziemię od karpackich gór do morza, siejąc gąszcz bohaterstwa jak las młody. Szedłbym polami zdeptanymi od kopyt moskiewskich koni i siałbym świętą pszenicę braterstwa. Szedłbym drogami niemieckich wytypień i siałbym święte żyto ofiary. Stworzyłbym nowy polski gwar zbudzonych miast. Wyważyłbym skarby niekopane z przebogatej ziemi. Sprzedawałbym towar tu wy-

pracowany ludowi na rynkach. Przeorałbym martwe grunta
plugiem nowotnym. Tchnąłbym męską miłość współbraci
w rozszarpane dzielnice. Poczuli by w żyłach tę nową po-
tęgę, której, mając w sobie, nie mają. Opasałbym kraj wy-
tężonymi ramionami młodych synów Polski nowej. Puśćcie
mnie, kraty! Puśćcie mnie!

ANZELM

*(wszedł tajemnie do celi, — stoi przy drzwiach, — słucha
pilnie)*

— Towarzyszu Lechu!

CZAROWIC

Czy ja śpię? Kto to?

ANZELM

To ja, Anzelm.

CZAROWIC

Jakżeś tu wszedł?

ANZELM

Puścił mnie żandarm.

CZAROWIC

Gdzie teraz jesteś?

ANZELM

Tu obok ciebie siedzę w celi.

CZAROWIC

Czego ode mnie chcesz?

ANZELM

Słyszałem, że szarpiesz kraty.

CZAROWIC

Tyś slyszal?

ANZELM

Tak.

CZAROWIC

Jakżeś to slyszal z tamtej celi?

ANZELM

Słyszę, gdy ktokolwiek w Polsce szarpie kraty.

CZAROWIC

(blady z rozpacz)

Zdradziłeś sprawę! Tyś mnie wydał!

ANZELM

Zdradziłem głupstwo, które zowiesz sprawą.

CZAROWIC

Szpiegu!

ANZELM

Romantyku!

CZAROWIC

(z krzykiem)

Nic się ode mnie nie dowiesz! Niczego nie usłyszysz!
Nie powiem! Ja umiem milczeć! Milczę tu już siedemna-
ście miesięcy. Idź precz!

ANZELM

Nic nie wymilczysz. Ale oto ja ułtowałem się nad tobą... Zresztą przychodzę do ciebie z prośbą. Tyś to mi dał na pamiątkę ową książeczkę poety... Pamiętasz, gdyś ze mną nędzarzem, ty, wielki pan, czytywał w polu wiersze Mickiewicza i Słowackiego... Chodziliśmy, pomnisz, na pyloną daleką szosę za miastem, żeby na pamięć wyczytywać. Serce ścisnął słodki i bolesny skurcz obludy tej poezji. „A kiedy śpiewa chór — drży serce wroga”. — Pamiętasz, towarzyszu Lechu?

CZAROWIC

Idź, idź! Ja ci nie zapłacę ani grosza. Ja tobą pogardzam!

ANZELM

Strasziłeś mnie wtedy skrzywdził, ty, coś mnie wywlókił z barlogu niewiedzy, coś ocucił z martwych moją świadomość, a teraz mną pogardzasz. Kłamstwo twoich poetów ukazało mi w całej pełni prawdę o mojej nędzy. Czyś miał prawo do tego, żeby mnie wyciągnąć z błota, żeby mi odsłonić raj i kazać iść do niego drogą twojej fantazji? Kto ci dał na to pozwolenie, żebyś mnie przeznaczał na śmierć dla szczęścia przyszłych pokoleń, — jakżeś to mówił? — Szeptaleś do mnie: — tyś był głodny, ojciec twój cierpiał nędzę, matka w hańbie umarła, twój syn posiadzie to samo dziedzictwo, — broń ich wszystkich i siebie. Czy miałeś pewność mojego zwycięstwa? Miałeś ją... w wierszach twoich poetów. Pewna była tylko moja śmierć. Tyś o tym wiedział, a ja nie. Jaki mógł być zysk z mojej śmierci? Zaden. Tyś o tym nie myślał nigdy, że lepiej żyć w głodzie, niż nie żyć wcale.

CZAROWIC

Myślałem zawsze, że lepiej jest nie żyć, niż żyć w hańbie. Myślałem zawsze, że wszystkich ludzi należy nakarmić, napoić i odziać. Nie miałem czym. Myślałem przez całe moje życie, że dobro świata musi służyć wszystkim ludziom jednakowo, a nie miałem żadnego innego sposobu, tylko ci dać w rękę broń.

ANZELM

A miałeś pewność zwycięstwa?

CZAROWIC

Wierzyłem, że ją mam, gdy wszystek lud powstanie!

ANZELM

A czy wszystek lud może powstać?

CZAROWIC

Przebiegłość siły rzeczy powiedziała, że nie może.

ANZELM

Kłamałeś, twierdząc, że gdy ja zginę, zbawiony będzie lud. Ludu z nędzy nic wybawić nie może. Odpowiadaj dziś, co lud z nędzy wybawić może?

DAN

(stuka w ścianę z sąsiedniej celi:)

Śluchaj! Pamiętaj! Znalazłem tajemnicę ognia. Geniusz człowieka wszystko może!

CZAROWIC

(radośnie)

Słyszales! Geniusz człowieka wszystko może.

ANZELM

Poezja przemawia. Chcę ci się odwzajemnić za wszystko, coś dla mnie zrobił — ja szpieg. Przyniosłem ci, gdy jesteś nędzarzem, ten oto puchar.

(wyciąga puchar)

Ten sam w nim napój, któryś ty mi dawał. Poezja — vinum daemonum.

CZAROWIC

Skądżeś to tak możny? Jakimi sposobami tak dalece uczony, biedny i ciemny Anzelmie?

ANZELM

Wysłuchałem był twoje myśli tajemne, gdyś wstrząsał kratą. Śnił ci się sen o przyszłej Polsce. Chłepieś się, że zanurzywszy w nią ręce, wstrząśniesz jej jałową, starą, zatechłą glebę, że z niej uczynisz cudowny kraj, w którym nie ma już nędzy, nie ma złodziei i nie ma zdrajców. Śmiałem się do rozpuku.

Wypij ten kielich wina demonów — i zobaczysz cuda.

CZAROWIC

Jakże się to stać może?

ANZELM

Sam się dowiesz.

CZAROWIC

Daj kielich.

ANZELM

Każdy człowiek korzysta z usług szpiega. Lecz szpieg nie pracuje darmo.

(nagle zmienia głos, schyla się do nóg Czarowica, żebrze)

Mam na świecie synka małego. Oleś... małe dziecko. Syn szpiega. Biegną za nim dzieci całej ulicy, gdy się na chodniku pokaże, ciskają kamieniami, jak na wściekłego psa, krzyczą na niego jak na zarażonego trędem. On ucieka wciąż, ucieka bez przerwy, kryjąc twarz w rączyny. Łkanie jego wygania mnie z mogiły. Nie masz miejsca na ziemi, gdzieby się to dziecko mogło skryć przed straszliwym dla niego przekleństwem świata...

CZAROWIC

Daj kielich!

ANZELM

(cofa kielich)

Mam na świecie synka małego...

CZAROWIC

Daj kielich!

(Anzelm wyciąga ku niemu kielich. Czarowic pije jednym tchem. Anzelm zniką. Nastaje głuchy, posępny mrok. Czarowic siedzi pod oknem na krześle z obwisłymi rękoma, z głową, która bezwładnie odwalila się na kratę. Nagle rozległ się potężny szczeł. Nie odmykając drzwi, weszło BOŻY-SZCZE w postaci i zbroi króla Warneńczyka. Gięta kół-

czuga od stóp do głów jednolitą stalą okrywa całą jego wielką postać. Głowa okryta szlOMEM *) stalowym. Szlom wysoki polerowany, ze złotymi skrzydłami. Na biodrach pas, kuty z czteropromiennych gwiazd. U boku wielki, prosty miecz. W prawicy młot ciężki. W lewej ręce drzewo nabijane oszczepu. Spiczaste stopy, w karacenową zbroję obute, stały w przekątnej żłobowinie celi, której więźniowie machinalnie chodzą, biegają i błądzą z wolnego od sprzętów kąta pod oknem w wolny kąt przy piecu. Surowe lica, osłonięte stalą, posępnie dumają. Wielka dłoń spoczęła na głowicy miecza, wywlekła go zza pasa i podała więźniowi)

BOŻYSZCZE

Weź miecz.

CZAROWIC

(w szale radości pochwycił miecz, przycisnął do piersi, ustami przywarł do rękojeści)

Miecz rycerski! Wrogowie!

BOŻYSZCZE

Targalesz kraty. Patrz długo na mnie. Jestem podobny do wielkiego na ziemi człowieka. Jestem ten, który wytraca niemoc cierpienia. Jestem ten, który miota do ziemi siłę i radość. Jestem podburzyciel człowieka. Jestem król wasz nowy, który zakładam wpośród waszych dusz mocarstwo woli.

(uderza Czarowica dłonią w twarz)

*) szlom = helm.

Weź ostatni policzek niewoli.

(bierze z rąk Czarowica miecz, uderza go klingą w prawe ramię)

Weź w duszę z mych rąk zmycie policzka niewoli.

(oddaje mu miecz)

Pójdiesz dziś ze mną w świat. Pamiętaj, żeby ci się dusze polskie nie wydały stokroć, tysiąckroć boleśniej niż od krat więzienia wrogów, a ziemia polska ciśniejsza i bardziej okrutna, bardziej martwa i niema od celi wroga. Patrz daleko poprzez i ponad ludzi, jakieś poprzez kraty patrzal w niebo. Biada ci, jeżeli westchniesz za żelaznymi kratami więzienia, pasowany rycerzu!

CZAROWIC

Moja pierś nie zazna westchnienia! Moja dusza nie zazna żalu.

BOŻYSZCZE

(dźwiga ciężki młot, uderza w ścianę lewą raz, drugi, trzeci. Ściana pękła. Przez otwór rzuca młot do celi sąsiedniej, gdzie przebywa więzień Dan. Mówi przez wylom)

Bij co siły w twe kowadło! Kuj dzień i noc! Niech wytryska twój ogień! Chwytaj tajemnicze iskry! Pochłoń je myślą! Hasło nasze: P o l s k a !

(do Czarowica)

Milcz z zaciśniętymi zębami, albo składaj wewnątrz siebie przysięgę, kiedy idzie o Polskę. Hasło nasze: Polska.

(Porwał z rąk więźnia miecz i z ramienia, odlewym ciosem walił w kraty. Rozcięte kraty zwisły. Drzewcem oszczepu poczał bić w mur podokienny. Rozerwał kraty i żelazną

*prawicą wylał ją z muru, jak badyle. Mur wielkimi od-
łamami runął na zewnątrz, bryłami wyleciał w dół)*

BOŻYSZCZE

Pójdź!

(weszli w otworzelisko rozbitego muru)

CZAROWIC

(z którego kaidany opadły)

Słysz, jak tam w dole szumi Wisła. A tam za nią, to
dalekie — to Mazowsze...

*(Nachylił się. — Piersi jego chwytają wicher. Usta
szlochają)*

Wodzu!

BOŻYSZCZE

Polska!

CZAROWIC

To jest wolność!

BOŻYSZCZE

Polska — Polska!

*(Z wylomu w murze, z sąsiedniej celi wychodzi więzień
Dan. Trzyma w ręku młot. Przystanął, do okna wywało-
nego podszedł. Szepcze głośno, przejmująco: Polską, Pol-
ską... Bożyszcze zstępuje w dół po wylomie w murze,
w noc. Za nim Czarowic, na końcu Dan. Z dala od
strony, w którą poszli, dolatuje melodia „Jeszcze Polską“.)*

III

„ZBUDUJEMY ŻYCIE NOWE”

N Ó Ż

wiersz Juliana Tuwima

(z T. Botrela)

1.

Wielmożny Panie! nie mam gdzie spać!
noc ciemna i zimna na dworze,
czy możesz mi nocleg u siebie dać,
choćby na słomie w oborze?

Bracie mój, bliźni! jakże byś tam
śród bydła mógł spać na gnoju?
Dla bliźnich łoże puchowe mam
w ciepłym, zacisznym pokoju.

2.

O, dobry Panie! wstyd mi tych łez,
lecz z głodu, ach z głodu płaczę;
gdy trochę żarcia zostawi twój pies,
daj mi ten ochłap sobaczy!

Gościu mój miły, oto jest drób,
pieczeń, kielbasa, zwierzyna . . .
siadaj do stołu, zaszczyt mi zrób!
i napij się ze mną wina!

3.

Jakże mam z tobą do stołu sięść,
mój dobroczyńco kochany?
Bosy, obdarty jest, panie, twój gość
i wiszą na nim łachmany...
Weź najładniejszy z mej szafy strój
i wszystko, czego ci trzeba,
a na śniadanie weź, bracie mój,
ten świeży kawałek chleba.

4.

A kiedy północ wybiła już,
gdy usnął i pan i sługi, ...
włóczęga wyjął z zanadru nóż
ostry, błyszczący i długi.
Nóż w jego rękę tak drżał i łnił,
jak gwiazdy z jasnego nieba.
Aż wreszcie podszedł i nagle — wbił
w bochenek świeżego chleba.

5.

Świtem włóczęga zniknął, bo cóż?
wyspał się, najadł — w porządku! ...
lecz w świeżym chlebie zostawił nóż,
zostawił go na pamiątkę:
że kto ma dom swój, stragan, czy sklep,
ten może spokojnie chrapać,
póki nędzarze mają ten chleb,
żeby w nim noże zatapiać!

Odszukajcie w pamięci smutną melodię pieśni. Jaką? nie
wiem, które, jakie umiecie. Taką, która miałaby w sobie smę-

tek i żal, beznadzieję i odgłosy samotnego czyjegoś bólu. Dużo
jest takich pieśni. Może i wy znacie którą z nich... Będziemy
ją nucić przez cały czas trwania 3-ch pierwszych części wiersza.
My, to znaczy, dziewczęta i chłopcy — grupa, która odtworzy
nastrój i treść wiersza. Jeden z nas będzie włóczęgą, tym, który
prosi. Drugi panem, tym, który w wierszu daje.

Zanim zaczniemy, obejrzymy się — poszukamy, lub zro-
bimy odpowiednie miejsce. Kąt — który będzie jakby mie-
szkaniem pańskim. Koniecznie musi być z niego wyjście w głąb
mieszkania. Tam pójdzie pan z włóczęgą jeść i pić, tam go
na nocleg weźmie. Obok tego wyjścia postawimy stolik. Na
nim pan położy chleb ofiarowany włóczędze. Ten chleb bę-
dzie jedynym rekwizytem. Ani wspomnianego w wierszu dro-
biu, ani wina, ani wszelakiego dostatku, o którym ofiarodawca
wspomina, nie będzie. Ci dwaj będą tak grać, że sam ich sto-
sunek do siebie, serdeczne i szczerze zainteresowanie się nędzą
włóczęgi, zastąpi owe wszelakie dobroci.

Zaczniemy tak. Jeden z pośród nas zasiadł w zaimpro-
wizowanym mieszkaniu — kącie świetlicy (tym z wyjściem).
Pewnie jest po kolacji. Siadł za stołem, gazetę przed się roz-
łożył, syty, zadowolony, spokojny, papierosa pali, herbatę po-
pija — czyta. Cicho, bardzo cichutko, ażeby mu spokojnego
dosytu nie przerywać — nucimy swoją smutną melodię...
Wszedł oto włóczęga. W strzępach wiszą na nim łachmany.
Zniszczony, połamany kapelusz z głowy zdarł. Z podelba
rzucił tam i sam spojrzenia. Zobaczył pana. W tamten kąt
cichymi krokami poszedł. Nisko, pokornie, bardzo pokornie
skłonił się w pas. Cicho, prosząco, przejmującym głosem
błaga:)

WŁÓCZĘGA

Wielmożny Panie, nie mam gdzie spać!
noc ciemna i zimno na dworze,
czy możesz mi nocleg u siebie dać,
choćby na słomie w oborze?

(Tamten poderwał się, gdy tylko nędzarza zobaczył. Gazetę położył, papierosa rzucił. Poruszony, głęboko wstrząśnięty podszedł do włóczęgi. Jakże? bliźni, brat oto cierpi! Bez patosu, szczerym wzruszeniem i dobrocią mówi:)

PAN

Bracie mój, bliźni!... jakże byś tam
śródm bydła mógł spać na gnoju?
Dla bliźnich łoża puchowe mam
w ciepłym, zacisznym pokoju...

(Wskazał ręką wewnątrz swego mieszkania w głębi. Gestem zaprasza go, by szedł za nim. Nie fałszowana w nim dobroć. Nie sfalszowane współczucie. Ale włóczęga stoi w miejscu. Spodziewał się odmowy. Tyle razy już go pędziły z miejsca na miejsce bezlitosne słowa. Tyle już razy zatrząskiwali się za nim drzwi w nienawiści, że oto teraz, gdy w tym ciepłym mieszkaniu znalazł Człowieka, który jego, nędzarza, bratem nazywa, łkanie szarpnęło nim gorzkie. Zbierał w sobie siły nad srogą i okrutną odmową. Wobec dobroci osłabł nagle w niemocy mdlącej:)

WŁÓCZĘGA

O dobry Pamiel! Wstyd mi tych łez,
lecz z głodu, ach z głodu płaczę;
gdy trochę żarcia zostawi twój pies,
daj mi ten ochlap sobaczy!

(Rzucił się na to pan. Głęboką serdecznością drży jego głos. Do głębi serca, do czerwonego wstydu wzruszył go pokorny głos żebraka. Wziął go pod ramię, jak gościa najmilszego, w głąb mieszkania prowadzi. W drzwiach stanęli. Pan ręką wskazuje w głębi, pewnie kłedens pełny, zasobny...)

PAN

Gościu mój miły! oto jest drób,
pieczeń, kielbasa, zwierzyna...

(za rękę go wziął — do wnętrza prosi...)

siadaj do stołu, łaskę mi zrób
i napij się ze mną wina!...

(Ale nędzarz stoi nieporuszony w drzwiach tej cudzej dobroci. Dopiero wobec nich zobaczył, porównał, zestawił swoją nędzę. Na swoje łachmany spojrzał. Na swoje bosa nogi, zabrudzone pyłem dalekich dróg. Na brudne strzępy łąpoty niewiadomego już koloru. Przeciągnął rękę po zarośniętej, zczerniałej twarzy. Poczul, zrozumiał swoją nagość, swoją nędzę...)

WŁÓCZĘGA

Jakże mam z tobą do stołu siąść,
mój dobroczyńco kochany?
Bosy, obdarty jest, panie, twój gość
i wiszą na nim łachmany!...

(Ale i na to przecie znajdzie się rada w sercu miłującym. Już nie pod ramię, jak gościa milego, ale wpół, jak brata ogarnął go pan. Potrząsnął serdecznie za ramiona przygnębieńca)

PAN

Weź najładniejszy z mej szafy strój
i wszystko, czego ci trzeba, —

(szeroko zakreślił ręką to „wszystko“. Wszedł do mieszkania, wyniósł stamtąd świeży, pachnący bochen chleba —

jak symbol bratniej miłości, otwartego serca dla bliźniego,
podaje go nędzarzowi:)

a na śniadanie masz, bracie mój,
ten świeży bochenek chleba.

(Dopiero do tego chleba wyciągnęły się ręce włóczęgi. Tak go oto przez chwilę między sobą trzymają. Potem spojrzeli sobie w oczy, uśmiechnęli się. Pan serdecznie, prosto, jak światły, rozumiejący dawca, nędzaryk nieśmiało, pokornie jeszcze, smutnie... Chleb położyli na stolku przy drzwiach. Weszli do wnętrza. Czekają na nich wieczerza, ciepło, zacisze domu, czyste szaty dla żebraka — — —)

(Wtedy przestaniemy śpiewać swoją pieśń. Śpiewaliśmy ją przez cały czas dialogu. Gdy mówił Włóczęga, nuciliśmy ją głośnie, z akcentami przewlekłego smutku, nie tak jednak głośno, by zagłuszać biedaka; gdy mówił Pan, zciszaaliśmy głosy, że nuta ledwo, ledwo drżała w powietrzu. Teraz zamilkliśmy całkiem. Znikła akcja. Oto pierwszy akt skończony. Światło w świetlicy przygaśnie... Dźwiękliwe, w najgłębszej wśród nas ciszy wybije zegar dwunastą godzinę. Wtedy w głębi mieszkania, gdzie zniknął Pan i Włóczęga, zadrga płomień niktły. Ni to płomień nocnej lampki? może księżycowa blask? Wpadły słabe promienie do świetlicy przez otwarte drzwi. Skupieni, głębokimi głosami, zciszonymi oczekiwaniem, razem wszyscy mówimy:)

CHÓR

A kiedy północ wybiła już
gdy usnął i pan i sługi...

(W smudze światła ukazał się włóczęga. Już nie ten sam nam się wydaje. Kapeluszyk na głowę nasadził. Cichy jakiś,

a groźny i straszny wydaje się nam w tym zmroku. Rozejrzal się w koło — — słucha — — Powoli z zanadru wyciągnął błyszczący nóż — — wzniósł go nieco w górę — — jak do ciosu... Wpatrzył się weń, jak w północy...)

CHÓR

włóczęga wyjął z zanadru nóż
ostry, błyszczący i długi.
Nóż w jego rękach tak drżał i lśnił,
jak gwiazdy z jasnego, nieba!...

(Włóczęga zrobił krok naprzód — zdecydowany — —)

Aż wreszcie podszedł i nagle...

(zrobimy tu przerwę)

wbił

w bochenek świeżego chleba.

(Szerokim rozmachem wbity, zagłębił się zły, ostry nóż w życiadałym chlebie. Światło dotychczas oświetlające postać Włóczęgi spłynęło na ów chleb i załamało się blaskami w błyszczącej stali noża. Włóczęga już swoje zrobił. Skurczony, zszarzały, jakby już wyładował z siebie wszystko nieszczęście, przypelzł z nim z szerokich dróg niedoli do tego cichego domu. Kto wie? może to jego wahanie poprzednie niosło w sobie mord i tragedię? Kto wie? Zdarzało się i tak... A oto wychynęła się na powierzchnię jego duszy prawda o dobroci i miłości. Dał tedy tym wbitym w chleb nożem świadectwo owej prawdzie. Sam odszedł. Swoją rolę już zakończył. Znowu jest samotny i nieznany na odległych, zakurzonych gościach. Przemknął się obojętnie jak cień. Przepadł. Jeden z nas — grupy — mówi:)

GŁOS I

Świtem włóczęga zniknął, bo cóż?
wyspał się, najadł — — w porządku! . . .

(a dwie dziewczyny z pośród nas:)

DZIEWCZĘTA

Lecz w świeżym chlebie zostawił nóż!

GŁOS II

zostawił go na pamiątkę:

CHÓR

że kto ma dom swój, stragan, czy aklep,
ten może spokojnie chrapać,
póki nędzarze mają ten chleb,
żeby w nim noże zatapiać!

Powiemy to mocno, uroczystie, twardo. Przez cały ten czas światło pada w dalszym ciągu na nóż i chleb, jakby je chciało ożywić, ażeby i ów nóż włóczęgi i chleb dobrego człowieka przemówiły do serc twardych i kamiennych.

Kiedy skończymy, przez sekund parę jeszcze światło drży, potem powoli gaśnie. Wtedy dopiero zapalimy światło na świetlicy. Jesteśmy znów sami — swoi. Tamto przed chwilą — może nam się śniło?

S O S N Y

(wiersz W. Tropaczyńskiej-Ogarkowej)

Na żółtej wydmie z piasku,
niedaleko gminnego lasku
strzelały w niebo sosny.
Już pewnie ze sto lat tak rosły,
złotą korą w słońcu świeciły,
a konarami zawsze zielonymi
w niebo się modliły.
Palcami-korzeniami chwyciły za głowę ziemię
i słuchały, jak żyje, —
jak w śnie cicho drzemie,
i wodę z niej — skąpej — piły — piły
na moc swych pni rudych,
na gałęzi siłę.
Stały na straży chłopskiej ciężkiej doli,
krótkich radości, długich smutków, łez.
Wiedziały dobrze, kogo, co i jak boli, —
niejeden ludzki już widziały kres.

— — — — —
— — — — —
— — — — —
Aż przyszli drwale!
— — — — —

Na żółtej wydmie z piasku,
niedaleko gminnego lasku
leżały w prochu sosny.
Ostrą szczotką zielonych gałęzi
kluły ziemię żalem,
że już ich dłużej nie więzi,
że je wydała drwalom...
Skrzypią, skrzypią po lesie pily,
tną w deski, w belki żółte ciała sosen,
twardą w nie sączą moc i twarde siły
na czas przetrwania nowych mokrych wiosen.
Sosny już łzami żywicy nie płaczą,
nowy w nie wstał duch i oddech nowy:
niech tną a mocno nasze ciała tracze,
zbuduje potem z nas wieś — dom ludowy. —

(Stałyśmy — dziewczęta w półkolu. Jedna z nas, Zośka,
wysunęła się naprzód, opowiada:)

ZOŚKA

Na żółtej wydmie z piasku,
niedaleko gminnego lasku,
(ręce uniosła wysoko w górę)

CHÓR

(radośnie, wesoło, mocno)

strzelały w niebo sosny!

ZOŚKA

Już pewnie ze sto lat tak rosły,

CHÓR

(patrzy ku jej wzniesionym ku górze rękom)

złotą korą w słońcu świeciły,
a konarami zawsze zielonymi
w niebo się modliły!

(Zośka cofnęła się między nas; pochyliliśmy się ku ziemi.
Ręce wyciągnęliśmy przed siebie, palce rozstawiłyśmy
u dłoni, jesteśmy oto owymi sosnami, palce, to nasze korzenie.
Nasłuchujemy, co nam ziemia szeptce)

Palcami-korzeniami chwyciły za głowę ziemię
i słuchały, jak żyje,
jak w śnie cicho drzemie — —

(Ręce odwróciłyśmy tak, że dłonie zwrócone ku górze wyo-
brażają owo ciągnięcie ze skąpej ziemi życiodajnej wody...)

i wodę z niej — skąpej — pily, pily...

(Ręce uniosły się wysoko. Zwarły się mocno z rękoma
sąsiednimi zrosły się, stwardniały konary)

na moc swych pni rudych,
na gałęzi siłę.

(trzymamy się w górze mocno za ręce)

GŁOS I

(z pośród nas)

Stały na straży twardej, chłopskiej doli,

GŁOS II

krótkich radości, długich smutków, lez...

GŁOS III

Wiedziały dobrze, kogo, co, i jak boli, —

GŁOS IV

niejeden ludzki już widziały kres...

CHÓR

(twardo, krótko)

Aż przyszli drwale!!

(ręce jak podcięte siekierą opadły)

ZOŚKA

Na żółtej wydnie z piasku,

CHÓR

niedaleko gminnego lasu

(spokojnie, powoli, żałośnie...)

leżały w prochu sosny.

ZOŚKA

(ze smutkiem)

Ostrą szczytką zielonych gałęzi
kłuły ziemię żalem...

(gdy ręce opadły przed chwilą i bezwładne zwisły, pochyliłyśmy się w niemocy i smutku — mówimy ze smutkiem)

CHÓR

że już ich dłużej nie więzi,
że je wydała drwalom...

ZOŚKA

(naśladuje, pochylona, ruch traczy, mówi w rytm ruchów)

CHÓR

Skrzypią, skrzypią po lesie pily,

(otrząsnęliśmy się z bezwładu i wpadamy w rytm ruchów
Zośki, tniemy, jak ona)

tną, w belki, w deski żółte ciała sosen.

GŁOS I

(w ruchu)

Twardą w nie sączą moc i twarde siły,

GŁOS II

(w ruchu)

Na czas przetrwania nowych mokrych wiosen.

ZOŚKA

(ciąć przestała, my ciągle jeszcze jesteśmy w ruchu, ale już
krzepniemy, przestajemy.)

Sosny już łzami żywicy nie płaczą,

(tniemy coraz wolniej, ale rytmicznie)

nowy w nie wstąpił duch i oddech nowy:

CHÓR

(głośno, twardo)

miech tną, a mocno nasze ciała traczę!

(ręce zwróciliśmy ku ziemi, potem dźwigamy je ku górze,
jakbyśmy podnosili, budowali zręby domu)

zbuduje potem z nas wieś — dom ludowy! — —

R A Z E M

(słowa W. Tropaczyńskiej-Ogarkowej)

WSZYSCY

(w zwartym szeregu posuwają się rytmicznym krokiem
naprzód)

Ruszamy z miejsca razem,

GŁOS Z LEWA

raźno,

GŁOS Z PRAWA

żywo,

GŁOS ZE ŚRODKA

sprawnie!

WSZYSCY

Za dłonie się weźmy!
otoczmy wieś kołem serc!

GŁOS ŻEŃSKI

i ty

GŁOS MĘSKI

i ja

WSZYSCY

razem śpieszymy!
zbudujemy życie nowe!

(cicho, półszepcem, schylając się...)

Pochylimy nisko głowy,
posłuchamy:

(szepcem, przejmująco)

ziemia

dyszy!...

*(ręce przyciskając do piersi, wyprostowują się powoli,
sprawnie a łagodnie)*

Weźmy w serca świętą ciszę...

(głośniej)

niech nas żarem rozplómenia,

(głośniej)

niech dusze w ogień zamienia!

(głośno, radośnie)

rozzrucimy wszcz, w kółko,
wielkie wspólnoty ognisko.

GŁOS Z LEWEJ

Gospodarzu!

(do lewej strony szeregu przyłącza się gospodarz)

GŁOS Z PRAWEJ

(do prawej gospodyni...)

Matko!

GŁOS ZE ŚRODKA

(do towarzyszy)

Bracie!

3 GŁOSY RAZEM

Gdzie są wasze dłonie?

WSZYSCY

Dajcie!

(za dłonie się wzięli mocno, twardo)

DZIEWCZĘTA

Niech się łańcuch mocny przeży!
niech się ściśni!

CHŁOPCY

niech natęży
twardą, chłopską moc upartą,
niech wolę wzbudzi zażartą!

WSZYSCY

Wtedy pójdziem!

*(wyprostowani, złączeni dłońmi powoli kroczą ku nam —
w świetlicy)*

Razem, wspólnie,
wolno, sprawnie, godnie — dumnie!...

GŁOS DZIEWCZYNY

w dnia szarego trud bez końca...

(wszyscy przystanęli, gdy dziewczyna mówi...)

GŁOS CHŁOPCA

w kręgi świata!

GŁOS DZIEWCZYNY I CHŁOPCA

w potok słońca!

DZIEWCZĘTA

na tężowe, jasne drogi —

WSZYSCY

spółdzielczego życia progi.

Wiersz jest nieduży. Zróbcie go jednak kiedy w świetlicy, gdy będziecie smutni i ośpiali monotonnym dniem. Nauczyć się go można w jeden wieczór. Wygłoście go wspólnie, mocno, z poczuciem siły i wewnętrznej mocy. Zobaczycie, że zrobi się wam rażniej na duszy i sercu.

SPIS TREŚCI

	Str.
Od wydawcy	5
I. SERCE MATKI	
1) Serce matki, nowela Kazimierza Tetmajera . .	9
2) Wieś-miasto, według słów Marii Konopnickiej	25
3) Szukamy radości, próba „teatru z głowy” . .	47
II. O NOWĄ WIEŚ I NIEPODLEGŁĄ POLSKĘ	
4) Rada, z powieści Władysława Orkana „W roz- tokach”	63
5) Róża, urywek z dramatu Stefana Zeromskiego	85
III. „ZBUDUJEMY ŻYCIE NOWE”	
6) Nóż, wiersz Juliana Tuwima	109
7) Sosny, wiersz W. Tropaczynskiej-Ogarkowej	117
8) Razem, słowa W. Tropaczynskiej-Ogarkowej	123

